

● KS. PROF. J. KONDZIELA: KU PRZYSZŁOŚCI POLSKI ● L. WAŁĘSA:
NIE RÓBMY WIĘKSZEGO BAŁAGANU ● PRZED ZJAZDEM LITERATÓW
● FAŁSZE W ENCYKLOPEDII ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ● UMIERAM
NA AIDS ● TYGODNIOWY PROGRAM TV ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 23 II - 1 III 1989 R.

NR 6

CENA 50 ZŁ

Z DZIEJÓW

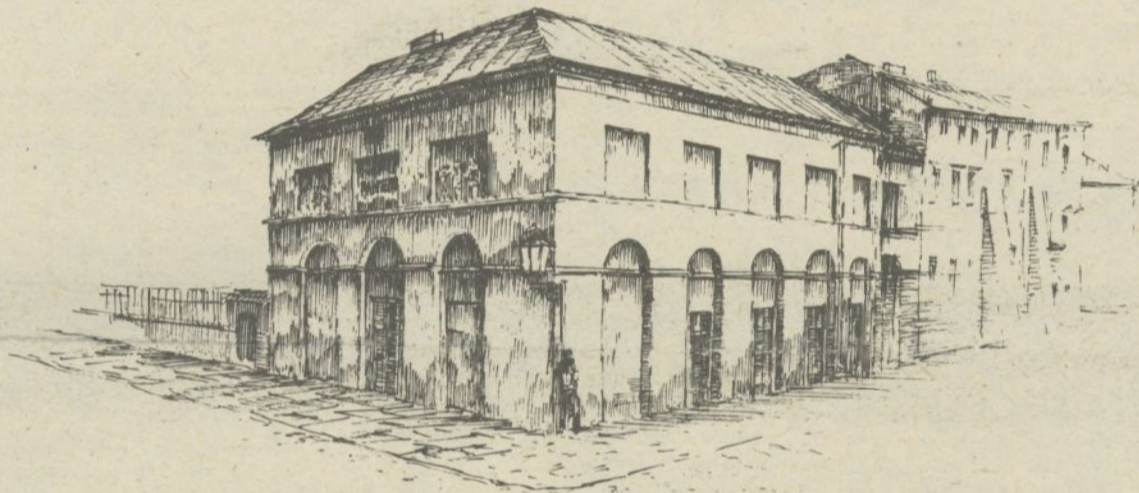
STAREGO TEATRU

PRZY ULICY

JEZUICKIEJ,

DZIŚ TRYBUNALSKIEJ

- STR. 8 - 9



Rysował: Ryszard Jaruga

„JESTEM RONNIE PEARCE. UMIERAM NA AIDS. POZWÓL MI PRZEŻYĆ JESZCZE JEDEN DZIEŃ”

OBJĘCIA ŚWIĘTEJ KLARY

(KORESPONDENCJA WŁASNA Z USA)

Waldemar Piasecki

MÓGŁ mieć najwyżej trzydzieści lat, wyglądał na sześćdziesiąt. Siedział na rogu Madison Avenue i 37th Street w słoneczny dzień 3 września 1988 roku. Jego źrenice błyszczały nienaturalnym światłem, jakie pojawia się, gdy metabolizm organizmu przerobi już wstrzyknięty do krwi narkotyk, a z ciemnej strony świadomości wypełni głód. Wtedy zapomina się o wszystkim. Nawet i o TYM. Trzeba szybko zdobyć jakąś forszę, aby dowlec się do swego puschera i kupić. I wstrzyknąć. Przenieść się, oddalić, spojrzeć na siebie z wysoka. Zapytać: kto tam siedzi na rogu, jaki to śmieć? Przecież on nigdy nie poleciał nad Manhattanem. Ze mną. Ale... on przecież czegoś chce. Wybazał na tekturze z pudła po konserwach dla kotów: „Jestem Ronnie Pearce. Umieram na AIDS. Pozwól mi przeżyć jeszcze jeden dzień. Ten dzień. Niech Cię Bóg błogosławi!”. Głupcze, kto ci ma pomóc? Dlaczego? Daj ludziom spokój. Zdechnij po cichu. Jest sobota, Labour Day. Wszędzie kiermasze, wyprzedaje. Ludzie chcą się

cieszyć zakupami, robić dobre interesy. Potem wrócić do domu, zjeść obiad, napić się kolorowej telewizyjnej bryi, użyć żony, tyknąć walium. I spać. Pozwól im spać. Nie jesteś im potrzebny nawet we śnie. Słyszysz mnie, Pearce?! Zobacz jak lecę. Zaraz będę z tobą. Tobą.

Policjant przez chwilę przygląda się zebrzącemu. Wkłada skórzane rękawiczki. Przestaje machać pałką. Ujmuje ją w dłoń bardziej celowo i intencjonalnie. Policjant w Nowym Jorku potrafi posługiwać się pałką bardzo dobrze. Staje przed Pearcem, Wystarcza. Szkielet podnosi się przyciskając do siebie metalowy kubek z monetami i tekturę z odezwą do świata. Odpywa wzdłuż ściany. Po chwili znika za rogiem bloku.

Policjant zdejmuje rękawiczki. Nie są na razie potrzebne. Kiedy ma się do czynienia ze śmieciami chorymi na AIDS, nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. W każdej chwili mogą się rzucić i ugryźć w dłoń. Do krwi. Nie zawsze uda się wcześniej trafić pałką w

leb. A wiadomo czym się może takie ugryzienie skończyć. Gówno nie robota...

— Praca, jak każda inna... — mówi mi. — Gdybym się jej bała wystawiałabym sobie złe świadectwo. Nie, strach nie wchodzi w rachubę. To by było nieprofesjonalne.

Siedzimy w jej gabinecie. Ona tyłem do okna. My po drugiej stronie biurka, które nas dzieli. Ma za sobą okno, przez które świeci przedpołudniowe słońce. Na biurku telefon, jakieś papiery, magazyny medyczne. Nie ma na sobie białego fartucha, co odoficjalnia jakby atmosferę. Proponuje kawę, albo jakiś zimny napój. Jest skoncentrowana, choć zwyczajem Amerykanów bardzo żywo reaguje na zadawane pytania i wypowiedziane przez rozmówcę kwestie. „Masz rację”, „zgadzam się z tobą”, „nie, to chyba nie tak”, „chyba się mylisz”... Do tego niemal stale się uśmiecha. Choć, w moim początkowym

odczuciu, uśmiech nie powinien pasować do tego miejsca.

Debra Spiceland jest po prostu na swym miejscu. Ordynatorka The Spelman Center for HIV-Related Disease w St. Clare's Hospital na Manhattanie. Debra kieruje oddziałem, na którym przebywają chorzy na AIDS. Choć używając precyzyjnej terminologii (patrz nazwa), chodzi tu właściwie o choroby atakujące organizm w wyniku wyniszczenia go wirusem HIV. Te mogą być leczone, na sam AIDS skutecznego lekarstwa nie ma. Stąd precyzja.

Mówi dr med. Jadwiga Pawłowska, internista, współpracująca z St. Clare's Hospital, posiadająca na Manhattanie bardzo dobrze prosperujący gabinet prywatny:

— Znam Debbie od kilku lat. Jest chyba najmłodszym ordynatorem takiego oddziału w USA. W Nowym Jorku znana jest z oddania chorym i determinacji w walce z AIDS. W odro-

Dokończenie na str. 6—7

ARGUMENT SIŁY NICZEGO NIE ROZWIĄZAŁ. LICZY SIĘ SIŁA ARGUMENTÓW

ternatywą może być tylko pogłębiający się chaos i regresja cywilizacyjna, które zepchną nasz kraj na krawędź społecznej i gospodarczej katastrofy.

Jestem przekonany, że jako społeczeństwo dojrzeliliśmy do przyjęcia metody konsensusu przy rozstrzyganiu najważniejszych spraw społecznych i politycznych. Bolesne doświadczenia, które były udziałem obu stron, udowodniły, że metody siłowe w warunkach polskich nie mają racji bytu. Argument siły, jak dotychczas, niczego pozytywnie nie rozwiązał. We współczesnym świecie coraz bardziej liczy się siła argumentów, a to nie werbalnych, czy logicznych, ale społecznych i empirycznych.

I oto najważniejsze siły społeczne w naszym kraju przystępują do poszukiwania bezprzemocowych sposobów rozwiązywania konfliktów. Przy okrąg-

oraz eksponowanie partykularnych interesów. Takie podejście nie tylko jest społecznie wadliwe, ale i szkodliwe. Jeśli dzisiaj tak wielką wagę przywiązuje się u nas do nowej ustawy o stowarzyszeniach, to właśnie dlatego, że powinna ona stworzyć warunki do powstawania struktur pośrednich, tj. autonomicznych grup i instytucji społecznych, realizujących swoje własne cele, służące jednakże budowaniu wspólnego dobra całego społeczeństwa.

— Ksiądz profesor wspominał także o uwarunkowaniach zewnętrznych...

— Znajdujemy się w zupełnie wyjątkowej i bardzo korzystnej sytuacji międzynarodowej. Stwarza ona dogodny i bezpieczny klimat do spokojnego i rzeczowego poszukiwania własnych, oryginalnych rozwiązań problemów politycznych, społecznych i gospodarczych w naszym kraju. Ta sytuacja, to dobrze

Europą Wschodnią, Polska w tym układzie powinna stać się partnerem zdrowym, gwarantującym stabilność, rozwijającym się, a nie degradującym. Nikt nie zechce inwestować w kraju, który jest politycznie i gospodarczo niestabilny.

I w tym miejscu uwarunkowania zewnętrzne łączą się z wewnętrznymi.

— Czy przedstawiciele Kościoła przy okrągłym stole występują również jako stroną dialogu?

— Przy okrągłym stole zasiadli reprezentanci różnych środowisk. Chodzi tu — moim zdaniem — bardziej o zademonstrowanie klimatu przedstawicielstwa ogólnonarodowego niż o uwzględnienie uczestnictwa zróżnicowanych opcji politycznych. Nie mamy złudzenia co do tego, że głównymi partnerami dialogu jest szeroko rozumiany obóz rządzący oraz równie szeroko rozumiana strona „Solidarności”.

ności wobec świata. Udział ten połączony jest z poważnym ryzykiem, gdyż Kościół w Polsce korzysta z niekwestionowanego autorytetu moralnego. Uczestnicy obrad korzystają poniekąd z niego i — jak sędzę — są świadomi tego, że przyjęli na siebie zobowiązanie, aby dla celów partykularnych nie nadużywać funkcji uwiarygodniającej Kościoła.

— Czy możemy mieć nadzieję na to, że obrady okrągłego stołu doprowadzą do uzgodnień i rozwiązań otwierających nowe perspektywy dla ogółu społeczeństwa?

— Sądzę, że jak już doszło do tego spotkania, to każdy z nas pragnąłby, aby osiągnięto jakieś konkretne rezultaty. Możliwe, że będą one bardzo skromne — choćby tylko doświadczenie, że mimo wielu różnic potrafimy ze sobą rozmawiać.

Może jednak uda się — czego bym sobie i wszystkim Polakom najgoręcej życzył — uchylić wspólnymi siłami bramę ku lepszej przyszłości Polski.

Nadzieja na powodzenie tych rozmów zarysowuje się już w przyjęciu do dyskusji przez obie strony problemów, które generalnie można nazwać restrukturalizacją życia społeczno-politycznego i gospodarczego kraju. Rozpracowują to trzy zespoły — polityki gospodarczej i socjalnej, reformy politycznej, pluralizmu związkowego oraz odpowiednie podzespoły. Wyniki ich prac, jeżeli zostaną przyjęte przez obie strony i zaakceptowane przez społeczeństwo, mogą stanowić punkt wyjścia do podjęcia w Polsce budowy nowego ustroju społeczno-politycznego, który nie ma obecnie analogii nie tylko w obozie socjalistycznym, ale i na całym świecie.

Jedną z najważniejszych dla naszego życia politycznego spraw jest znalezienie instytucjonalnych ram obejmujących siły społeczne i polityczne, działające w naszym kraju. Dotychczas brak było u nas takiej instytucji. Wszelkie próby — PRON, Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa, i tym podobne — nie doprowadziły do wytworzenia takiej placzki, na której wszystkie znaczące siły społeczne współdziałałyby na zasadzie parytetu. Tylko stworzenie takiej placzki pozwoli na autentyczne partnerstwo. Obóz rządzący właśnie wychodzi z taką propozycją. I gdyby tylko od tego zacząć — mniejsza o to, jak by się ta instytucja nazywała, rada czy też komisja porozumienia narodowego — byłoby to już znaczne osiągnięcie okrągłego stołu. Można przy tej okazji skorzystać z przykładu austriackiej Komisji Parytetowej, w której reprezentowane są wszystkie znaczące siły społeczne tego kraju. Moim zdaniem, u nas taką rolę powinna spełniać wyższa izba parlamentu.

Zanim nastąpi pełna restrukturalizacja pluralizmu politycznego trzeba zacząć trenowanie, ćwiczenie koalicyjnych form politycznego współdziałania. Potrzebna jest nam teraz wielka koalicja narodu polskiego. Rozumie to Lech Wałęsa, kiedy odstępuje od domagania się wolnej gry sił politycznych, jako warunku do zbliżających się wyborów sejmowych. Obecnie pod względem politycznym znajdujemy się w okresie przejściowym i stworzenie autentycznej formuły koalicyjnej jest potrzebą chwili. Nie będzie to łatwe, ale nie jest to niemożliwe. W życiu politycznym, które powinno charakteryzować się realizacją możliwości w konkretnych uwarunkowaniach, sprawy z pozoru mało prawdopodobne stają się możliwe. Jak powiedział pewien mąż stanu — dwa razy dwa równa się cztery jest twierdzeniem prawdziwym w matematyce, ale niekoniecznie w polityce.

Mamy więc prawo liczyć na to, że podczas obrad okrągłego stołu — gdzie będą się ścierały różne koncepcje, wizje, alternatywy, będą się zawiązywać najmniej oczekiwane sojusze i koalicje — wykształci się formuła, która stworzy podstawę do dialogowego i demokratycznego rozwiązywania najistotniejszych problemów naszej Ojczyzny.

— Czego ksiądz profesor życzy uczestnikom obrad przy okrągłym stole?

— Niewyczerpanych pokładów cierpliwości i otwarcia się na partnerów dialogu.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Adam Wierzbicki

UCHYLANIE BRAMY KU PRZYSZŁOŚCI POLSKI

Rozmowa z ks. prof. dr. Joachimem Kondzielą politologiem z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego

lym stole jest miejsce na dialogowy sposób komunikowania sobie przeciwstawnych stanowisk, a odmiennosc koncepcji nie musi oznaczać, że reprezentowane są one przez siły sobie wrogie i nienawistne. Wydaje się, że jesteśmy coraz bliżej takiej sytuacji, w której ideologiczni przeciwnicy, reprezentujący odmienne koncepcje polityczne, będą partnerami przy rozwiązywaniu konkretnych problemów i wspólnie będą podejmowali inicjatywy korzystne dla ogółu społeczeństwa.

Spośród innych, których tu nie będę wymieniał — ale także ważnych uwarunkowań toczącego się obecnie dialogu — chciałbym wyróżnić jeszcze, istotny moim zdaniem, problem legalizacji, a właściwie relegalizacji „Solidarności”. W toku obrad okazało się nadspodziewanie szybko, że sprawa legalizacji została uznana za rozstrzygniętą pozytywnie. Kontrowersje natomiast wzbudzają propozycje co do sposobu dokonania relegalizacji.

Ta „kluczowa” — moim zdaniem — sprawa dla powodzenia lub niepowodzenia dalszych rozmów przy okrągłym stole, jest polityczną pars pro toto — część za całość. Chodzi tu bowiem o coś więcej niż o pluralizm związkowy, mianowicie o pluralizm polityczny.

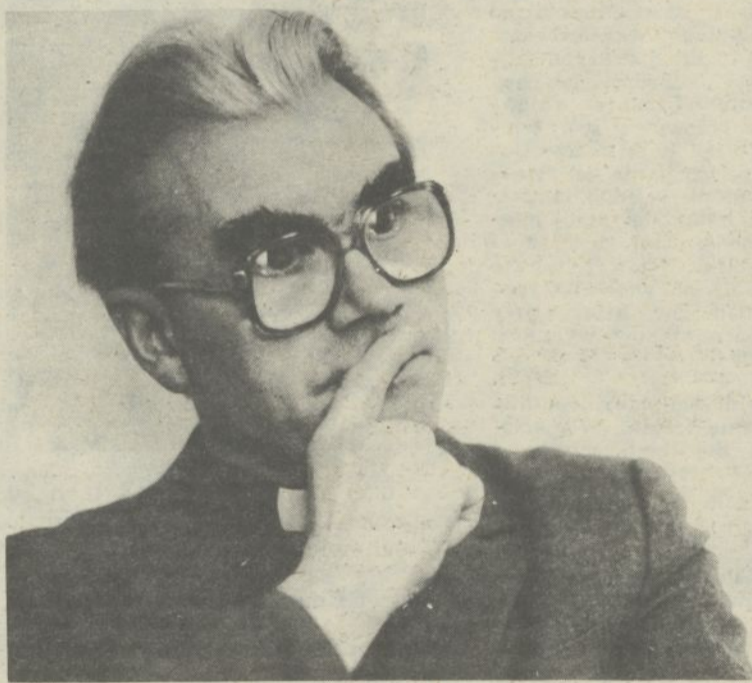
Trzeba bowiem otwarcie powiedzieć, że „Solidarnosc” — chociaż powstała jako związek zawodowy — bardzo szybko przeobraziła się w wielki ruch politycznej emancypacji społeczeństwa polskiego. W poststalinowskim okresie autorytarnego systemu sprawowania władzy i reprezentacji politycznej brak bowiem było struktur, które w pełni mogłyby zaspokoić to naturalne zapotrzebowanie społeczne. Idea pluralizmu związkowego zdaje się być już mocno zakorzeniona w życiu społecznym kraju. Natomiast przed pluralizmem politycznym dopiero otwierają się pewne możliwości. Dobrze by było, aby te możliwości zostały wykorzystane w sposób odpowiedzialny oraz aby były ugruntowywane w życiu społecznym w sposób stopniowy.

Bardzo mi odpowiada definicja polityki zawarta w encyklice „Laborem exercens” Jana Pawła II, że jest to **roztropna troska o dobro wspólne**. Pojęcie dobra wspólnego nie jest tylko hasłem w katolickiej nauce społecznej, lecz obejmuje ogół warunków i urządzeń społecznych, które umożliwiają rozwój wszystkim obywatelom. Kolektywistyczne ujęcie naszego życia społeczno-gospodarczego doprowadziło do zachwiania i dyskredytowania kategorii całości społecznej. Stąd, na zasadzie reakcji była tak silnie eksponowana tendencja do indywidualizacji życia społecznego, do chowania się za parawan prywatności

układające się stosunkami między supermocarstwami i manifestowanie przez nie pragnienia współpracy. Dużym wsparciem dla naszych inicjatyw oraz dla sił reformatorskich jest proces restrukturalizacji i przebudowy w Związku Radzieckim i prowadzone na Węgrzech głębokie reformy systemu gospodarczego i społeczno-politycznego. Ze strony wzgórz kremlofskiego nie dostrzegamy objawów zaniepokojenia czy niechęci i prób ingerowania w nasze sprawy, ale odwrotnie — życzliwość i duże zainteresowanie, gdyż proces reformowania życia społeczno-politycznego

Jeśli chodzi o autentyczny pluralizm polityczny, to do tej pory było u nas swoiste vacuum — luka.

Obecność przedstawicieli Kościoła na obradach jest potwierdzeniem jego niekwestionowanej siły społecznej. Kościół jest bowiem bardzo głęboko zakorzeniony w społeczeństwie polskim i posiada znakomitą znajomość wszystkich jego problemów. Hierarchia kościelna odegrała istotną rolę medycyną nie tylko w trudnych latach osiemdziesiątych, ale także na przestrzeni całej powojennej historii Polski. Można więc powiedzieć, że obaj najważ-



Ks. prof. dr. hab. Joachim Kondziela.

Fot. Tomasz Gzell

go i gospodarczego w Polsce może być stymulatorem pewnych rozwiązań w Związku Radzieckim, i wzajemnie.

Nie przesadzajmy chyba, jeśli powiem, że świat patrzy na nas z nadzieją. Zachód jest niewątpliwie zainteresowany tym, aby Polska była pomostem ze światem socjalistycznym, a nie chorym człowiekiem Europy, jak się to już mówiło i teraz powtarza. Mamy więc nie tylko nieścisłe ozdrowieńcze i odnowienie działania na Wschód, ale przede wszystkim przyjąć na siebie rolę partnera i pośrednika dla integrującej się Europy Zachodniej, która — by sprostać wyzwaniu Japonii i Stanów Zjednoczonych — będzie musiała szukać oparcia w rozwijaniu współpracy z

niejsi partnerzy dialogu, zapraszając przedstawicieli Kościoła do okrągłego stołu, oddali należyty hold jego roli medycynnej i wychowawczej.

Oczywiście nie to jest najistotniejszym powodem obecności przedstawicieli Kościoła w obradach. Jeżeli Kościół zdecydował się uczestniczyć — poprzez bpa Gocławskiego i ks. Orszulika — w pracach przygotowawczych, jeśli wreszcie — przez udział księży Orszulika i Dembowskiego — włączył się do obrad, to uczynił to z pełną świadomością, że bierze na siebie funkcję legitymizacji obrad okrągłego stołu, uwiarygodnia tę instytucję przed społeczeństwem, a nawet udziela mu wiarygod-

GDYBY w 1983 roku ani jeden członek zawieszono, a potem rozwiązano Związku Literatów Polskich nie wstąpił do jego nowego surogatu, to po kilku latach próżni organizacyjnej stary zostałby reanimowany in corpore, zapewne razem ze skazanym na śmierć Zdzisławem Najderem.

Kto więc, tak naprawdę i ostatecznie, był likwidatorem tamtego Związku? Czy był nim prezydent miasta stołecznego Warszawy, czy gorliwa „grupa inicjatywna” pisarzy, którzy okrzyknęli powstanie nowego ZLP? W historii naszego kraju było już sporo „grup inicjatywnych”. Jedną z nich tworzyli: Marcholewski, Dzierżyński i Kon. Miejsce akcji: Białystok...

Pisarz jest postacią publiczną, ale nie jest publiczną własnością. Każdy ma moralne prawo do takich wyborów, które mu nie tylko umożliwią,

socjalistycznego ustroju Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” Tymczasem ja wprawdzie uznaję Konstytucję, ale nie uznaję socjalizmu — żadnej odmiany socjalizmu. Ani socjalizmu wczesnego Józefa Piłsudskiego czy późnego Józefa Stalina, ani też socjalizmu Jana Józefa Lipskiego, że nie wspomnę już o socjalizmie w wydaniu Kazimierza Koźniewskiego czy Włodzimierza Sokorskiego.

W takim razie — zapyta ktoś — póki diabeł poniosło cię do tego ZLP? Odpowiadam: podpisałem „Zlep-listę” wiedząc, że jest tam cała masa zakamuflowanych wrogów socjalizmu, wcale nie łagodniejszych niż ja sam! Oczywiście — to żart, ale coś w tym jest. W każdym razie dobrego karczma nie zepsuje...

Jeszcze do dziś wśród niemal wszystkich literatów pokutuje mściwe prze-

członkowskie wszystkich członków rozwiązanej ZLP”. Wniosek przyjęto niemal jednogłośnie (wstrzymał się K. Koźniewski) jakby zapominając, że ten rodzaj amnestii jest niemal tak grubiański, jak samo rozwiązanie ZLP. Miodowicz głosi to samo od lat i tak zwana „grupa Wałęsy” pozostaje głucha na ten rodzaj amnestii. Znacznie dalej poszła jedna z delegatek, domagając się reaktywowania dawnego ZLP i była to jeszcze bardziej pobożna iluzja. Wszak prezydent miasta stołecznego Warszawy cieszy się obecnie znacznie lepszym samopoczuciem niż kilka lat temu! Z kolei ktoś inny stwierdził, że kończy się chyba bezpowrotnie epoka „mono” i czas pogodzić się z naturalnym istnieniem dwóch czy więcej związków twórczych, zawodowych, a także partii politycznych, itd.

To jeszcze jedna iluzja. W dobrej wierze wypowiedziana, ilustruje zapew-

polskiej. Na zjeździe ogólnopolskim okrzyki te padną również.

Dyrektor Departamentu Książki w Ministerstwie Kultury i Sztuki przypomniał na zjeździe warszawskim, że Sejmowa Komisja Kultury stara się o zmniejszenie drażniącego podatku dochodowego od książki (z 40 do 20 procent) i o zupełne zwolnienie z podatku debiutów i pierwszych wydań. W sferze owej „osłony socjalnej” dla książki — czas też pomyśleć o autorach. Elementem owej schizofrenii jest m.in. fakt, że autor otrzymuje honorarium wynoszące zaledwie kilka procent (3—4) ceny sprzedanej książki. Trudno znaleźć bardziej oburzający przykład wyzysku ludzkiej pracy.

Natomiast żadna władza nie zapobiegła postępującemu kryzysowi książki, jako — do niedawna — podstawowej formy przeżycia estetycznego. W cywili-

PRZED ZJAZDEM LITERATÓW

WCHODZIMY CZY NIE?

Henryk Pająk

lecz także ułatwią uprawianie twórczości. Alisi nie za każdą cenę. O tym, czy cena jest do przyjęcia czy nie, decyduje sam. W Polsce dzisiejszej żadnemu pisarzowi nie grozi powojenna sytuacja Kruka Hamsuna czy Ezry Pounda. Nie ma także szans na zamieszkanie w Wieży z Kości Słoniowej w krainie zwanej Ankadią.

„Wchodzimy czy nie?” — gorączkowo pytali pisarze przeczytawszy komunikaty prasowe o powstaniu nowego ZLP. I patrzyli na siebie pytając, z zażenowaniem, niepewnie. Jedni zaczęli wchodzić natychmiast, inni po namyśle. Jeszcze inni wcale. Większość radziła czekać. Na co? Do kiedy? Każdy czuł, że wejść od razu, to jakby zaakceptować zarznięcie tamtego Związku. Po drugie: może po roku czy dwóch prezydent miasta stołecznego Warszawy zmieni? Powie: bardzo mię przegraszam, miałem słaby dzień, migrenę, dałem się podprowadzić ekstremie. Wracajcie, nie ma sprawy.

Nic takiego nie nastąpiło. Prezydent demonstrował znakomite samopoczucie, czas upływał. Nowy „Zlep” rozrastał się licznie o dawnych, jak i nowych członków.

Piszący te słowa doszłusował z legitymacją numer 784, na szarym końcu, latem 1987 roku: dziś ten związek liczy niecałe 800 dusz. Czekalem cztery lata. Gdyby w tym czasie wykludził się jakiś alternatywny Związek, dziś pewnie byłbym tam. Gdzieś chciałem być. W tłumie rażniej, nawet w Barczewie. Niestety, wstąpiłem do nowego ZLP w wyniku moralnego oszustwa, co poddałem pod rozważenie Sądowi Koleżeńskiemu przy ZG ZLP. Oto w statucie nowego ZLP pierwsze jego uroczyste zdanie brzmi: „Związek Literatów Polskich jest organizacją pisarzy, uznających konstytucyjne zasady

konanie, że prezydent miasta stołecznego Warszawy pomylił się, pospieszył z tym rozwiązaniem ZLP, obecnie bardzo tego żałuje widząc, że wyprodukował sobie zorganizowaną, palającą nienawiścią grupę opozycyjną wśród niezrzeszonych. Tymczasem obawiam się, że prezydent nie miał i nadal nie ma powodów do żalu. Osiągnął ostatecznie to, do czego zmierzał, a mianowicie udało mu się wyizolować, wypreparować najgłośniejszą opozycję z całości polskiego środowiska literackiego. Teraz ich zarejestruje, minister kultury da stypendia i zapomogi, może nawet założą własne wydawnictwo i niech sobie psioczą na komuchę w kawiarni „Czytelniaka” ile tylko zechcą! Ale już tylko między sobą, bo w głównym związku będzie cisza, spokój, grzeczność na co dzień.

I tu się wreszcie, chyba, nieco pomylił. W nowym ZLP nie ma ciszy, nie ma zgody. Na styczniowym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Oddziału Warszawskiego (skupiającego połowę obecnego ZLP) socjalizm drżał w posadach, aż miło było posłuchać! Gdy ktoś tam powiedział z trybuny: „Władza prowadzi zdecydowaną politykę niszczenia kultury polskiej” wybuchły tak zwane frenetyczne oklaski. A zatem w Granadzie także zaraza. Teraz już wszędzie trzeba na gwałt ustawiać okrągłe stoły: w samej PZPR, w samym ZLP, a ponadto także w samym Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich. Koniec świata.

Na tymże zebraniu warszawskiego oddziału nie brakowało iluzji i tak zwanych pobożnych życzeń. Aleksander Minkowski, jeden ze „spadochroniarzy” obecnego ZLP zaproponował, aby marcowy zjazd sprawozdawczy ZLP przyjął następującą uchwałę: „Zjazd delegatów ZLP postanawia uznać prawa

nie dość powszechne przekonanie, wyrosłe z tęsknoty do wszechogarniającego pluralizmu, wszakże oznacza ni mniej ni więcej tylko uznanie za normalną sytuację zgola nienormalną, jaką jest rozbięcie środowiska pisarskiego. Tymczasem za nienormalne trzeba by uznać istnienie dwóch „Solidarności”, trzech odłamów związku Miodowicza, trzech czy więcej frakcji podpisujących się pod nazwą: PZPR — itd. Pisarze mogą zreć się między sobą, demonstrować skrajne postawy polityczne i światopoglądowe, wyzywać się od slugosów reżimu lub płatnych agentów zachodnich mołodawców, lecz pozbawieni jednego, choćby pełnego frakcyjnych rozdarć związku twórczego, poupychani do osobnych cel, tych niby suwerennych własnych związków, tracą swoją zbiorową osobowość. Czy aby nie o to właśnie idzie w całej tej grze?

TAK więc na dziś, na jutro i na dalekie pojutrze sytuacja w środowisku pisarskim jest nienormalna i patowa. A to dlatego, że: władza oraz lobby nowego związku zapewne nie pozwolą na jego likwidację i reanimację starego; wszelkie odcienie amnestii dla „braci odłączonych” są dla większości z nich nie do przyjęcia; dualizm czy pluralizm związków pisarskich jest na ręce zbyt wielu i zbyt mocnych kręgów.

Byłoby dobrze, gdyby na zbliżającym się zjeździe ZLP przynajmniej ustrzeżono się od uchwał, które jedynie rozjątrzą i tak już rozjątrzone środowisko...

Pocieszająca jest tylko całkowita zgodność wszystkich, każdego kto tylko próbuje żyć z pióra, co do tego, że sytuacja książki jest tragiczna, a prawa ogólnie rozumiane jako rynek książki, są zgola schizofreniczne. Stąd właśnie biorą się te rozpaczliwe krzyki o morderczym stosunku władzy do kultury

zacyjnym kryzysie kultury, książka, a już szczególnie literacka, w niej zaś najbardziej powieść, cofa się i wędnie pod naporem cywilizacji obrazkowej, pop-kultury. Intymne przeżycie duchowe, intelektualne, jakie niesie powieść czy tom poezji, staje się udziałem tak niewielu, że mówienie o śmierci literatury przestaje być przykładem czarnowidztwa. Jewtuszenko na zjeździe pisarzy radzieckich powiedział, że już kilka razy ogłaszano śmierć powieści, a ona wciąż żyje, bo wciąż jeszcze pojawiają się wielcy i najwięksi. Może to i prawda, ale prawdą jest również to, że złowiek współczesny odwraca się od zmyślenia, od anegdoty, a czymże innym jak nie zmyśleniem jest dobra powieść? Otaczająca go rzeczywistość jest bowiem dostatecznie koszmarnym kryminałem, ponurą powieścią, z nim, czytelnikiem, jako bohaterem głównym. Powieści a już szczególnie te ambitne, trudne, czyta wąski krąg koneserów, elita, niewiele w społeczeństwie znaczący introwertycy, posepni okularnicy, intelektualni megalomani i snoby. Ulica walczy o byt, pcha się do kolejek, szuka dodatkowego zarobku, a dorobkiewicz kupuje encyklopedie, albumy i słowniki, bo ładnie mają się na regałach. To, że mało kto kupuje powieść, że dobrych wciąż za mało, coraz mniej, że są za drogie — to wszystko jest prawdą, lecz częścią tej prawdy jest cywilizacyjny anachronizm powieści, literatury w ogóle.

Jeżeli z tej posepnej wizji, z tej stratosferycznej wysokości spojrzeć na spory literatów, to stają się one czymś tak nieważnym, tak małym, tak niedzielnym w perspektywie zagłady całego gatunku — literatury i jej twórcy — że aż się lżej na sercu robi, „Titanic” idzie na dno, a orkiestra gra wesole kuplety. I to jest właśnie czysta schizofrenia.

LISTY

„Relacje” — czytam i czytać będę, i nie dlatego, że to lubelskie i Piątkowskiego. Nie! Czytam, bo pismo jest dobre i mam taką głośną nadzieję, że będzie jeszcze lepsze.

To tyle, a może aż tyle.
Z serdecznym uściskiem dłoni

J. Henryk Cichosz
Krasnystaw

*

Szanowna Redakcjo!

Na wstępie pragnę przesłać najserdeczniejsze pozdrowienia. Nie będę chwalił Waszego pisma, wystarczy, że

zrobią to za mnie inni. Mam nadzieję, że utrzymacie „charakter” „Relacji” tak długo, jak się to da. To co odróżnia, czy wyróżnia „Relacje” od innych gazet to „charakter”, i bardzo dobrze, że tak jest.

Z poważaniem

I. Gąszcz
Lublin

*

Czytelnikiem i skromnym współpracownikiem „Kamery” byłem od wielu, wielu lat. Była to przyjaźń nie zawsze odwzajemniona, ale o tym nieco dalej.

W związku z ukazaniem się pierwszego numeru „Relacji”, postanowiłem skreślić do Redakcji kilka zdań. Przeczytałem pierwsze wydanie dokładnie.

Oczywiście, że na razie trudno byłoby cokolwiek powiedzieć o nim pozytywnego lub negatywnego. Jako czytelnik mogę przesłać swoje uwagi po kilku numerach. Mam tylko nadzieję, że kontakt z czytelnikami redakcji „Relacji” będzie potrzebny, bo w „Kamery” jakoś o tym zapomniano, stąd zupełny brak odpowiedzi na listy (nie tylko moje) oraz na przesłane materiały.

Wprowadzić w podtytuł widnieje „Tygodnik Wschodni”, ale z kolei na ostatniej stronie umieszczona jest rubryka: „Kuchnia Małopolska”, więc mnie, krakowski, wydaje się, że zgodnie z tradycją historyczną „Małopolska” (płd.-wsch. część kraju) jest związana z Krakowem — stąd moje pisanie do Was.

Lucjan Zuzia
Kraków

*

Z autentycznym zainteresowaniem i nieklamany zachwytem przyjąłem (jak zapewne również liczna rzesza czytelników) ukazanie się nowo powstałego czasopisma o charakterze regionalnym. Wyrażam nadzieję, że prezen-tować ono będzie obok problematyki ponadregionalnej również i te zagadnienia, które leżą w sferze zainteresowań głównie mieszkańców regionu środkowo-wschodniego.

Jestem z zawodu nauczycielem — obecnie na emeryturze. Dotychczas opublikowałem 30 artykułów między innymi w „Ziemi Chełmskiej”, „Tygodniku Chełmskim”, „Kurierze Lubelskim”, „Głosie Nauczycielskim”, „Wychowaniu Obywatelskim” oraz w „Pokoloniach”.

Stanisław Lipiński
Rejowiec Fabryczny

Dokończenie ze str. 1

nieniu od znacznej części środowiska medycznego, ona reprezentuje optymistyczne nastawienie do problemu AIDS oraz jest zwolenniczką traktowania choroby, jak każdej innej. Czy da pan wiarę, że ona pracując na tym oddziale urodziła dwójkę dzieci?! Nie trzeba nadmiernie rozbudzonej wyobraźni, żeby ogarnąć skutki zakażenia HIV matki noszącej w łonie poczęte dziecko. Finał mógłby być tragiczny i dla Debbie i dla jej dziecka!

Debra Spicehandler patrzy na nas i śmieje się.

— No, trochę inaczej to było... Michała urodziłam pięć lat temu, gdy byłam na stażu na oddziale AIDS, Alexa już prowadząc oddział samodzielnie. No i... teraz znowu jestem w ciąży. Chciałabym, aby tym razem to była dziewczynka — mówi nam obracając w palcach wisiołek na szyi.

CHARLIE jest Murzynem. Pochodzi z Harlemu. Ma osiemnaście lat. Waży sześćdziesiąt funtów, nieco ponad trzydzieści jeden kilogramów. W pokciu Charliego wisi na ścianie reprodukcja „Stoneczników” Vincenta Van Gogha. Na stoliku stoi ogromny kaktus upstrzony kolorowymi wstążkami. Do poręczy łóżka chłopaka przywiązany jest balon z hełmem, pokryty azotanem srebra. Balon ma kształt serca. Można się w nim przejrzyć. Charlie siedzi pomiędzy oknem, a telewizorem. Na ekranie George Bush z przedwyborczą wizytą u policjantów. Właśnie wkłada na głowę policyjną czapkę. Murzyn wypływa przekleństwo. Robi to anemicznie, bez przekonania. Bez siły. Stoję zaskoczony, bo jeżeli cokolwiek kojarzy mi się, po miesiącu, w USA z dynamizmem tego kraju, to futbol amerykański i Murzyni. Więc teraz, kiedy widzę Charliego, robi mi się strasznie nijako. Przypominam sobie, jak jadąc z przyjacielem na Columbia University musieliśmy przejechać Harlem. Zwyczajem wszystkich białych pozamykali drzwi i okna w samochodzie. Był ranek, rozgrzane, wilgotne powietrze dusiło i potwierdzało doniesienia metecrologów o „lecie stulecia”. Klimatyzacja nie działała. I wtedy zbliżył się do nas. Właściwie nagle wyskoczył przed maską „porsche” unieruchomionego w kolajce na skrzyżowaniu. Natychmiast podbiegł do drzwi kierowcy. Zastukał w szybę. Odańczył kilkunastosekundowy taniec i podetknął pod szybę gazetę. W uśmiechu pokazał przeraźliwie białe zęby.

— Kupcie. Nic dzisiaj jeszcze nie sprzedam. Biali się gdzieś cholernie dziś spieszą... — kłamał, żartował.

— Długo stoisz? — zagadnął przyjaciel przez uchyloną na dziesięć centymetrów szybę.

— Na tym skrzyżowaniu już dwa lata. Zobacz, jak się... opaliłem — pokazał palcem na czekoladową twarz.

I tymi nas rozbrólił. Kupiliśmy dwie niepotrzebne (kolega prenumerował) gazety, a historia z murzyńskim nastolatkiem była opowiadana przez nas przez następny tydzień.

Teraz, kiedy widzę Charliego podobnego do tamtego chłopaka, tak bardzo, jak bardzo mogą być podobni szczupli Murzyni przed trzydziestką i wzroście około 172 centymetrów, przychodzi mi głupia myśl, że wirus HIV zdążył mu odebrać nie tylko zdrowie, ale także całą jego murzyńskość i amerykańskość. Charlie kończy się, dogasa... Wypaliła się już jego żywiołowa odębność. Jest teraz cholernie podobny do Ronnie Pearce'a z rogu Trzydziestej Siódmej i Alei Madisonsa.

Stoję w takiej odległości od Charliego i pod takim kątem, że widzę w szklistej powłoce jego oczu odbijające się małżeńskie obrazki telewizora. W wychudzonej twarzy jego oczy są elementem niezwykle wyrazistym i wstrząsającym. Dostrzega to moje zainteresowanie i powoli zaczyna unosić prawą rękę do góry. Cały czas siedzi na krześle nie zmieniając pozycji. Na wysokości twarzy, wychudła dłoń z niekończącymi się w swą długość palcami skręca w lewo. W moim kierunku. Unosi się skośnie do góry i zawisa.

— Cześć, człowieku... — mówi powoli.

Mówi to do mnie. Wtedy, w ciągu kilku sekund, przesuwa mi się przed oczami film: podaje rękę Murzynowi, a on ją mocno chwytając, zrywa się z krzesła i błyskawicznie wbija w nią zęby, gryzie do krwi. Dlaczego nie mam rękawiczek?!

To nie może dłużej trwać. Ręka chłopaka drży. Wtedy wydaje mi się podobny do Eddiego Murphy'ego. Podaje dłoń Eddie'emu. Jego dłoń jest spocona i zimna. Mnie kosztuje lepi się do pleców. Dlaczego? Przecież działa klimatyzacja?

DEBBIE Spicehandler:

— Nasz oddział jest ewenementem w Nowym Jorku oraz, z tego co wiem, nie tylko. Uruchomiony został w 1985 roku, jako struktura Szpitala Świętej Klary, o nazwie Centrum Spellmana. Jest to oddział absolutnie samodzielny i to go różni od innych. Dziś liczy około siedemdziesięciu łóżek, ale działalność polega nie tylko na hospitalizowaniu. Mamy własną przychodnię, do której zgłaszają się ludzie chcący być testowani na obecność wirusa HIV oraz ci, u których wirus został już stwierdzony. Trzecim kierunkiem działania przychodni są eksperymenty z nowymi specyfikami medycznymi ma-

jącymi osłabiać działanie destrukcyjne wirusa, bądź ingerować w jego rozwój i replikację. Naturalnie próby tych lekarstw na chorych odbywają się za ich wiedzą i zgodą. Funkcjonuje także duży dział stomatologii, do którego zgłaszają się wyłącznie zarażeni wirusem lub chorzy z oddziału szpitalnego. Non stop, przez całą dobę działa nasza telefoniczna gorąca linia, taki telefon zaufania dla osób mających jakiegokolwiek pytania, problemy czy wątpliwości związane z AIDS. Ponadto prowadzimy oddział więzienny AIDS Więzienia Stanowego Nowego Jorku oraz pro-

czym są leczeni, jakie mają problemy. Te problemy są bardzo różne i bardzo dramatyczne, a ich rozwiązywanie jest domeną pracowników socjalnych.

U Świętej Klary leczy się nowojorska biedota. Ponad 80 procent pacjentów opłacanych jest przez rząd. Tym, co różni Nowy Jork od kalifornijskiego centrum zachorowań na AIDS jest przewaga... narkomanów. O ile w Los Angeles do klinik trafiają głównie homoseksualiści, o tyle tu — narkomani. U Świętej Klary stanowią 60 procent hospitalizowanych, homoseksualiści — niespełna czterdzieści, a po-

OBJĘCIA

wadzimy testy dla wojska (głównie dla poborowych). Zakres działania jest więc bardzo rozległy. Organizacyjnie nie wytrzymałoby to wszystko bez pełnej samodzielności.

Na moje pytanie o liczbę lekarzy pada odpowiedź wystawiająca mój angielski na ciężką próbę. Kiedy Debbie mówi mi „pięciu”, pytam ponownie. Ona, że pięciu, a ja czy jest pewna, że pięciu. Na to ona, że przecież jako ordynator musi wiedzieć ilu ludzi bierze forszę co tydzień w kasie. Na stałe zajmuje się oddziałem tylko tyłu. Jeżeli jest potrzeba, wzywani są specjaliści: chirurdzy, okuliści, gastrologi, psychoanalizy, psychiatry. Jaką specjalizację ma personel oddziału? Jak to jaka? HIV-related disease! To są ludzie po przeszkoleniu właśnie do tego! Nie może być żadnej improvizacji i przypadkowości z różnych powodów. Przede wszystkim AIDS sieje postrach w USA. Kiedy rozmawiam z Debbie chorobę tę stwierdzono w USA już u 62 tysięcy osób, ponad sto tysięcy jest nosicielami wirusa HIV, a w samym Nowym Jorku choruje blisko dwadzieścia tysięcy. To po pierwsze. Po drugie, dzień pobytu w szpitalu kosztuje 400 dolarów, a rząd płaci... 560 za każdego pacjenta dziennie. Wnioski oczywiste: skoro jest takie zaangażowanie władz federalnych, stanowych, miejskich, to nie można powierzać sprawy w ręce ludzi nieprzygotowanych. Nikogo na to nie stać!

Naturalnie team lekarski jest wspierany przez około trzydziestoosobowy zespół pielęgniarek, pracowników socjalnych, лаборantów, salowych. Dla przykładu: na trzech pacjentów przypada jedna pielęgniarka, która rzeczywistość za nich odpowiada. O każdej porze potrafi określić ich stan, podać

zostałe kilka procent prostytutki i ofiary przypadkowych zakażeń (np. transfuzyjnych). Dominują mężczyźni, na dziesięciu pacjentów jest ich dziewięciu. Jeżeli chodzi o grupy etniczne, po 30 procent przypada na Murzynów, białych (w rozumieniu anglosaksończyków) i tzw. hispanias (Latynosów). Ewenementem są pacjenci rasy żółtej!

Jak już zostało powiedziane, AIDS w Nowym Jorku, to problem narkomanów. Można to zawęzić: AIDS to problem „brudnych igieł”. Dla narkomana balansującego codziennie na granicy rozzwierającego organizm na strzępy głodu i zagrożenia związanego z przedawkowaniem (jeżeli w ogóle jest co), naprawdę nie ma aż tak istotnego znaczenia jaką igłą wstrzykuje sobie dawkę. W każdym razie nie to jest problemem życia i śmierci. Skutki są widoczne. Dlatego w Nowym Jorku realizowany jest zakrojony na szeroką skalę (a przykrajany przez budżet miejski) „Methadone Project”. Nazwa „Methadone” jest nazwą najskuteczniejszego — jak się uważa — specyfiku odwykowego w uzależnieniach narkotycznych. „Methadone” podawany codziennie w postaci pastylek lub zastrzyków, w wielu przypadkach powodował obniżenie fizjologicznego uzależnienia, a przy należytej kontroli dawkowania — wychodzenie z nałogu. W St. Clare's Hospital leczeniu skutków działania HIV towarzyszy zwykle kuracja methadonowa. Trudno jednak byłoby powiedzieć, aby ten lek odnosił szczególne sukcesy w walce z heroiną, LSD, PCP „na mieście”. Tam jednak wygrywają „brudne igły”. Jest to już problem tej miary, że burmistrz Nowego Jorku Ed Koch publicznie wypowiedział się za bezpłatnym rozdawaniem narkomanom igieł. Lepiej, aby — jeź-

NIE PRZYPUSZCZALI, ŻE MIESIĄCE MOGĄ ZAMIENIĆ SIĘ W LATA

JEROZOLIMA, PIĄTA RANO

Bogusław Szmyglin

JEROZOLIMA, piąta rano, mały dziedziniec przed Bazyliką, w której znajduje się skała Golgoty. Na początku stycznia jest tu o tej porze ciemno, mokro i zimno. Grupa ludzi obserwuje ceremonię otwierania drzwi do Bazyliki, uświęconą kilkusetletnią tradycją. Asystuje przy tej ceremonii tylko kilku żydowskich policjantów, a patrzący na to Polacy czekają na krótką, półgodzinną mszę, odprawianą przez polskiego księdza. Co ich tutaj przywiodło?

Wszyscy, tak jak dziesiątki tysięcy innych Polaków, szukają nowego miejsca do życia. Nikt z nich nie wie, jakie to ma być miejsce; wiedzą jedynie, że tym miejscem nie będzie Polska. Szukając go, trafili tu, do Izraela. Czy im się uda, nikt nie potrafi przewidzieć, nikogo poza ich bliskimi nie będzie to pewnie interesować. Można jedynie przedstawić kilka krótkich hi-

storyjek naszego wychodźstwa w drodze, dzieje tych kilku osób, które przypadkowo spotkały się przed Bazyliką Grobu w Jeruzolimie. Wszystkie te historie zdarzyły się do piątej rano, w piątek, Trzech Króli 1989 roku.

Andrzej i Marta są młodym małżeństwem. Wyjechali z Polski dwa lata temu na wakacje do Grecji z myślą o pozostaniu. Jeszcze w Polsce słyszeli, że z Grecji można wyjechać dalej, do Stanów, Kanady czy Australii. Wiedzieli, że czekanie będzie trwało miesiące, ale nie przypuszczali, że miesiące mogą zamienić się w lata. Szukali pracy. Marta skończyła w Polsce liceum plastyczne i potrafi rysować. Znalazła dobrą pracę w agencji wytwarzającej szablony do reklam i wystaw. Bardzo się starała w pracy. Po pół roku właściciel agencji doszedł do wniosku, że ma tak duży zapas szablonów, iż nie potrzeba mu więcej. Zwolnił ją.

Marta zaczęła rysować na Akropolu ruiny budowli. Na jej szkice zwrócił kiedyś uwagę amerykański Żyd. Zaproponował Marcie wykonanie serii rysunków starej architektury w Jeruzolimie, które, jeśli będą udane, to może posłużyć do zilustrowania jakiejś książki. Od ostatnich wakacji Marta rysuje więc w Jeruzolimie, a Andrzej łapie dorywcze prace. Żyją z niewielkich zaliczek za rysunki, z nadzieją na większe pieniądze po ukazaniu się książki. Na polską mszę przyszli, by podać listy do kraju. Chętnie rozmawiają i żarliwie przekonują, że nie ma po co wracać. Ich nadzieją jest ciennotka nić, jaka, poprzez sponsora, wiąże ich z odległą jeszcze Ameryką. Na razie marzą o lecie, które uwolni ich od dokuczliwego zimna w wynajmowanym u Arabów, nieogrzewanym pokoju.

Jurek jest człowiekiem zdecydowanym i pewnym siebie. Szczupły, krótko ostrzyżony, przystojny. Droga kurtka, markowy aparat fotograficzny, zgrabny plecaczek. On już dawno odkrył, że świat jest pełen dziewczyn z Zachodu, które wyjeżdżają na paromiesięczną włóczęgę. Wyjeżdżają z domu same, ale to nie znaczy, że muszą być same. Przystojny chłopak, mówiący dobrze po angielsku, jest dobrym kompanem na kilka tygodni. Wspólna kasa jest wtedy oczywista. Jurek jest człowiekiem myślącym i wie, że należy unikać miejsc, gdzie jest zbyt dużo Polaków. A w Europie jest ich wszędzie zbyt dużo. Poza tym przyjemniej jest zimą spędzić w Afryce.

Poprzedniego miesiąca jeździł z młodą Angielką po Egipcie, ale ona musiała wracać do domu. Postanowił teraz rozejrzeć się po Izraelu. Podoba mu się tutaj. Kibuce są pełne dziewczyn ze świata, które nie spieszą się do domu. Pod Bazyliką wpadł, by powiedzieć poznanym pod ambasadą w

Czas miłości

JEST rok 1824. W dwunasto-tyśięcym Lublinie, stolicy województwa lubelskiego pod rosyjskim zaborem, panuje niezwykle poruszenie. Od kilku dni na murze kamienicy przy ulicy Jezuickiej, zaraz za Wieżą Trynitarą, widnieje duży afisz, przed którym gromadzą się grupki ludzi. Wszyscy już wiedzą, że swój przyjazd zapowiedziało Towarzystwo Dramatyczne Starosty Jacka Kluszewskiego z Krakowa, mające siedzibę na Placu Szczepańskim. W dniu premiery na ulicy Jezuickiej ostatnie przygotowania.

Zapada wieczór, przed gmach świeżo wybudowanego teatru, będącego dumą miasta, podjeżdżają wytworne ekwipaże. W drzwiach teatru znamienitych gości wita Officer Inżynierii byłych Wojsk Polskich, Inżynier Gubernialny Łukasz Rodakiewicz ze swoją, młodszą żoną, Marianną Drewnowską. Goście zajmują miejsca w ławkach wybitych szafirowym sukniem z białymi frędzlami. Łoże Gubernatora i właściciela teatru są już zajęte. Gasną światła. Na nieco podwyższonej scenie, zbudowanej na tajemniczych ruinach ariańskiej świątyni, zapala się dwadzieścia jeden ozdobnych lichtarzy. Chwila ciszy i z pomieszczenia dla orkiestry, oddzielonej od widzów balustradą, rozlegają się pierwsze dźwięki opery Webera „Wolny strzelec”. Sezon teatralny w Zimowym Teatrze, zwanym później Teatrem Makowskich, potem Panteonem, rozpoczął się od występów... Starego Teatru z Krakowa.

Jest rok 1889. Zapada wieczór. Jest czas deszczów. Po dawnej ulicy Jezuickiej czasem ktoś przejdzie, z niepokojem rozglądając się na boki. Nikt nie zwraca uwagi na odrapany budynek z dziurawym dachem, oknami bez szyb, resztkami kinowych reklam. Czasem którzyś z przechodniów zawiesi wzrok na gryfach rozdzielonych wazonem czy kobiecych maskach umieszczonych na fasadzie budynku. Trudno szukać ich związku z odrapany napisem „Staromiejskie”, sztucznie „przyklejonym” do muru. Tak jest od paru lat. Upadająca świątynia Talii i Melpomeny, w której stawał na scenie pierwsze kroki mistrz Królikowski, umiera z wolna w ciszy i samotności. Tragiczny los tego teatru mierzyć można miarą ludzkiej zawiści i bezmyślności, w ciągu kilku dni niszczącej dorobek kilku pokoleń, które ten teatr wystawiły. Na ich rodowym pierścieniu widnieją trzy włócznie, które kiedyś uratowały polskiego króla przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Nie uratowały jednak teatru...

Kiedy po raz któryś zabieram się do pisania o świetności Starego Teatru w Lublinie, oznaczającej świetność narodowej polskiej sceny w ogóle, przychodzi mi na myśl słowa Norwida, uzupełniające przesłanie tytułu:

„Oto — zakłeta dała Ci Królowa
Klucze od Echa, i ten złamek drewna.
I lęz, i poszept w ucho — i grom
jeszcze!...

[...]
I powiedziała, wstążką wiejąc czarną:
[...]
Zywy, wybladła porusz dioramę
[...] Lecz skoro kłamstwo zdradzisz
kłamstwem sztuki
Bądź w pierw pod lauru szerokiego
cieniem
Gdzie donieść krzywe nie potrafią luki
Urągowiskiem albo zapomnieniem”...

Czas świetności

HISTORIA Starego Teatru zaczęła się od romantycznej miłości. Łukasz Rodakiewicz, oficer księcia Józefa Poniatowskiego, uczeń założonej przez niego Szkoły Elementarnej Artylerii i Inżynierów, 4 sierpnia 1820 roku wstępuje w związek małżeński z niespełną piętnastoletnią Marianną Drewnowską. Jej ojciec jest wtedy właścicielem kamienicy przy ulicy Dominikańskiej, zajmującej się wcześniej we władaniu lubelskiej kolegiaty. Jej historia sięga roku 1512. Wtedy właśnie w Aktach Archiwum Dominikańskiego w Krakowie w księgach dotyczących Klasztoru i Kościoła dominikanów w Lublinie odnotowano właściciela tego domu, który później Rodakiewicz przeznaczył na garderoby wybudowanego przez siebie teatru. Z tej zmierzchłej przeszłości narodziła się legenda o grobach szary-

tek, mających się znajdować pod sceną teatru.

W 1822 roku Rodakiewicz rozpoczął w swoim domu budowę teatru. Korespondent „Gazety warszawskiej” zapisał: „Nad wielkie spodziewanie nasze olbrzymią niemal siłą, bo w ciągu czterech tylko miesięcy stanął teatr w Lublinie, kosztem JP Rodakiewicza nowo z fundamentu wybudowany, wewnątrz dosyć obszerny [...] dobrze urządzony”. Już 20 października 1822 roku Towarzystwo Dramatyczne Karola Bauera dało pierwsze przedstawienie.

9 lutego 1825 roku dokonano oszacowania teatru. Dowiadujemy się z nie-

Tak rodziło się od 1857 roku pierwsze w Polsce muzeum teatralne. Ze wzruszeniem odczytywałem w Kalendarzu Lubelskim z 1866 roku, zachowanym w Bibliotece Łopacińskiego słowa W. Zielińskiego: „Bardzo bogaty i cenny zbiór afiszy teatralnych lubelskich posiadają w Lublinie mieszkający, właściciele gmachu przy ulicy Jezuickiej”. Autor tej wiadomości nie przewidział tragicznego losu tych zbiorów, unicestwionych w 1952 roku.

W 1863 roku następuje kolejna modernizacja teatru. „Gazeta Lubelska”

Z DZIEJÓW STAREGO TEATRU W LUBLINIE

„CZY POPIÓŁ TYLKO ZOSTANIE I ZAMĘT...?”

Waldemar Sulisz

go, jak wyglądał z zewnątrz i jakie było jego wyposażenie. Pośrodku znajdowało się jedno wielkie wejście z dużym oknem nad nim, prowadziło do przedsionka, skąd wchodziło się na widowie, podzieloną za pomocą drewnianych „podłużnych Galleryów długości 57 sążni”. Gmach wyposażony był ponadto w pięć pomniejszych okien i dziesięć innych drzwi. W tym roku Rodakiewicz zakupił do swojego teatru dekoracje po teatrze francuskim, grającym w Warszawie.

W 1827 roku bawi w Lublinie Stanisław Krzesiński, aktor prowincjonalny, pamiętnikarz, znawca lubelskiego teatru. Opisuje wnętrze jako czterokondygnacyjne, z parterem, krzesłami pierwszego piętra ustawionymi amfiteatralnie, balkonem na drugim i galerią na trzecim piętrze. Narzeka natomiast na zbyt wysoko podniesioną scenę, zbudowaną na podziemiach kościółka szarytek, tak że z powodu sklepów grobowych nie można zamontować maszyneryj scenicznych.

W 1833 roku liczni wierzyciele dokonują zajęcia budynku, po nagłej śmierci Łukasza Rodakiewicza. Z protokołów tych zajęć możemy dowiedzieć się więcej o budynku, „figuram” na murze ozdobionym”. Za sceną znajdowało się przejście do pokoi, przeznaczonych na garderoby artystów. Spisy wymieniają malowaną kurtynę, dekoracje dwojakiemu typu, starszego: periakty i telaf oraz dekoracje kulisowe z prospektami, 21 lichtarzy oświetlających scenę, 12 ławek wybitych szafirowym sukniem z białymi frędzlami, 4 obite płótnem, 12 gładkich z poręczami, 3 gładkich bez obić.

Od 1856 roku budynek przechodzi na własność Julii Rodakiewiczówny, która później wyszła za mąż za Romualda Makowskiego, pradziada żyjących do dziś właścicieli teatru. Udoskonala budynek, balkony wspierają się na 9 „kolumnach stolarskiej roboty, z kapitelami”, parapety na wszystkich piętach obito płótnem „pomalowanym w ozdoby”, scena wyposażona zostaje w rampę do światła, budkę suflera, drabiny do kulis, ganki, zapadnie, malowana kurtyna, 6 zmian dekoracji, 8 zmian dekoracji imitujących sufit.

W zaszczeniu, mieszczącym garderoby, znalazło się miejsce na archiwum, gdzie Julia Makowska, zakochana w teatrze, rozpoczęła zbierać pamiątki: rekwizyty, meble, afisze i programy „reprerentacji” teatralnych, portrety aktorów, teatralne kalendarze, listy aktorów, którzy zawsze w Starym Teatrze doznawali serdecznego przyjęcia.

obszernie informuje czytelników o zmianach. Budynek nakryty zostaje unikalnym, pozornym sklepieniem. Wtedy zapewne powstały malowidła, przedstawiające „opiekunki” tej świątyni sztuki: Erato, Melpomenę, Terpsychorę i Talie. Na proscenium malarz umieścił ich przewodnika, Apolla z lirą. Scena ozdobiona została nową kurtyną, przedstawiającą Troję, Priama i Achillesa na rydwanie, zabijającego Hektora. W rodzinie Makowskich zachowała się legenda o malarzu powracającym z Petersburga, który przegrawszy tam całą fortunę w karty, zgodził się na przyozdobienie lubelskiego teatru malowidłami.

STARY Teatr w Lublinie staje się coraz piękniejszy. Nic więc dziwnego, że w warszawskiej „Biesiadzie Literackiej” w 1909 roku, w artykule G. Smólskiego, opowiadającym o spotkaniu z profesorem Łopacińskim i malarzem Lublina, Smolińskim — omawiającym najcenniejsze zabytki miasta — wymieniony zostaje „Teatr Pana Makowskiego”, obok fresków kaplicy zamkowej, kościoła św. Michała, plafonu w kaplicy biskupiej z wizerunkiem św. Franciszka i Joanny de Chantal. Te „najciekawsze fragmenty starego Lublina” ilustrowane są rysunkami z teki pana Smolińskiego.

W kwietniu 1905 roku Romuald Makowski otwiera w swoim teatrze pierwszy w kraju „bioskop, najlepszy kinematografu obecnego czasu”. 18 września 1907 roku prasa donosi o otwarciu „teatru optycznego pod nazwą Theatre Optique Parisien [...] francuskiego bioskopu najnowszej konstrukcji [...] systemu niewidzanego jeszcze w Polsce, sławnego w Rosji i za granicą”. A do archiwum wędrują bezcenne afisze filmowe, reklamujące najlepsze filmy firm Paramount, Uniewersal, Volksfilm... Tam złożony zostaje także unikalny aparat do odtwarzania dźwięku, zapisywanego na dużych płytach.

Umiera właściciel. Jego syn, także Romuald, ojciec obecnych właścicieli, zakochany w teatrze jak Julia, wznawia działalność teatralną, pod nazwą Teatru „Panteon”. 5 kwietnia 1921 roku powstaje plan unowocześnienia budynku. Zatwierdzony przez komisję, zostaje skierowany do realizacji. Prace prowadzone są w ten sposób, by uchronić i odnowić wspaniałe malowidła.

Druga wojna światowa nie oszczędza budynku, na który spada bomba, uszkadzając jedną ze ścian. Niemcy zamykają teatr, pieczętują zbiory, szanując ich unikalną wartość. Szczęśliwie przetrwają wojnę w stanie nienaruszonym.

Czas zagłady

JEST rok 1946. Zaczyna się tragiczny czas Starego Teatru. Trzymam przed sobą pismo z 10 stycznia, skierowane do Romualda Makowskiego, z którego wiernie przepisuję fragmenty: „nie mając do tego żadnych podstaw w umowie z nami zawartej niema (oryginał — p.m.) Pan prawa dysponować pomieszczeniem teatralnym [...] dotyczy to umów jakie byłyby po otrzymaniu niniejszego upomnienia zawarte jak i tych, które przed niniejszym zawarte zostały, a winny być natychmiast w unikięciu strat i przykrości rozwiązane. [...] Przypominając zasadnicze bodaj

zobowiązania, jak: reflektory frontalne, kurtyna, piece [opalone], instalacja świetlna, czystość gwarantowana specjalnie zatrudnianym przez Pana człowiekiem, komunikuję, że z niedotrzymaniem umowy zmuszeni będziemy wyciągnąć konsekwencje i dlatego jeszcze raz na tej drodze przywołujemy do wykonania swoich zobowiązań, ergo umożliwienia nam rozpoczęcia regularnej pracy”.

Zadziwia i przeraża „elegancja” tego „rozkazu”, przekreślającego 140 lat polskiej historii i kultury, podpisanego przez kierownika artystycznego... Domu Żołnierza, Bronisława Borka.

Jest rok 1952. Użytkownikiem Starego Teatru jest Wojewódzki Zarząd Kin w Lublinie. Romuald Makowski otrzymuje kolejne pismo, którego fragmenty cytuję z odpisu: „Orzeczeniami Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkanicowej z dnia 30.VI.1952 roku nakazano obywatelowi usuniecie się ze wszystkich pomieszczeń, znajdujących się na terenie kina Rialto, przyczym w orzeczeniu Nr SKM-VI-287-52 nadano klauzulę natychmiastowej wykonalności zaś wykonanie orzeczenia [...] poleceno w terminie 7-mio dniowym”...

Tych „siedem sądnych dni”, danych właścicielowi przez Dyrektora Wojewódzkiego Zarządu Kin, T. Kseniaka, który podpisał cytowane powyżej pismo, były „wyrokiem” skazującym Stary Teatr na zagładę. Jak wspominają właściciele teatru, pod budynek podjeżdża ciężarowy samochód. Do dawnych garderób wchodzi robotnicy, dostają się na pierwsze piętro, gdzie leżą „skarby” zbierane jeszcze przez Julię Makowską. Nie znajdują ani srebrnych monet, ani złota pośród „śmieci” i „szpargałów”. Rozlega się trzask spadających rekwizytów. Z okna leca na bruk nikomu nie potrzebne „śmieci”, których stos powiększa się na ulicy: aktorskie portrety, bezcenne afisze, stare fotografie, piękne niczym pocztówki z rosyjskimi i polskimi napisami. Komu potrzebny stary żyrandol, bezużyteczny projektor z urządzeniem na dźwiękowe płyty, kurtyna...

A w „Życiu Lubelskim” z 1952 roku, w numerze 101 odnajdujemy informację: „rozpoczęły się roboty remontowe we wnętrzu budynku kina »Rialto«. Remont ma na celu przystosowanie wnętrza do dzisiejszych potrzeb, jednak z zachowaniem i przywróceniem walorów zabytkowych tego pierwszego budynku teatralnego w Lublinie”. Autorem notatki jest inżynier Henryk Gawarecki.

Projekt przebudowy kina „Rialto”, opracowany przez inżyniera Zbigniewa Zaworę, zatwierdzony zapewne przez ówczesnego konserwatora miejskiego, zostaje skierowany do realizacji. Zlikwidowane zostaje główne wejście do teatru, oraz okno nad nim. Kabina operatora zostaje przeniesiona na drugie piętro. Aby strumień światła mógł biec bez przeszkód, wycina się zabytkową balustradę. Ale wyświetlanemu obrazowi przeszkadza teraz luk sceny, nad którym znajduje się malowidło, przedstawiające Apolla. Nic prostszego, jak go podwyższyć, skuwając mur i malowidło... Znikają malowidła plafonu, przedstawiające cztery muzy, ozdobne wsporniki przy kolumnach dźwigających balkony. Zlikwidowane zostają przejścia do garderób.

W 1962 roku powstaje projekt inż. J. Gajewskiego z Miastoprojektu Stolica-Wschód, zakładający wyburzenie całego wnętrza, pozostawienie tylko ścian i wybudowanie wszystkiego od nowa. Na szczęście nie dochodzi do jego realizacji.

17 lutego 1967 roku najstarszy polski teatr, zachowany w niezmiennym kształcie, zostaje wpisany do rejestru zabytków pod numerem A/224. Od tej chwili żadnych zmian wprowadzać nie można...

A co dzieje się w dawnych garderobach teatru, kamienicy pamiętającej rok 1512, po wyrzuceniu z nich bezcennych zbiorów Makowskich? Belki podłogowe — jak wspominają właściciele — służą do opalania budynku, jako materiał świetlnie zastępujący węgiel w kotłowni. Nic dziwnego, że ściana sąsiedniego budynku zaczyna się wychylać. Nic dziwnego, że 27 stycznia 1970 roku powstaje projekt przebudowy i zabezpieczenia łącznika Kina Staromiejskiego. Garderoby zostają odcięte od teatru przez postawienie nowej ściany. Przy okazji niszczy się ostatni ślad historii. Na starej ścianie od niepamiętnych czasów aktorzy pozostawiali swoje podpisy, inskrypcje, przygotowując się do wyjścia na scenę...

W latach 80. Wojewódzki Zarząd Kin opuszcza budynek, pozostawiając go w stanie opłakanym. Kino zabiera projektory, fotele, odcięty zostaje dopływ ciepła, światło. A przecież w umowie, zawartej z właścicielem w 1961 roku stwierdza się przejęcie budynku w stanie zadowalającym, a wysokość czynszu zmniejszono do 50 procent, gdyż druga połowa miała iść na zabezpieczenie zabytkowej substancji budynku.

Od tamtego czasu Stary Teatr umiera, niezabezpieczony, z wybitymi szybami, służy za pijacką melinę. W tzw. międzyczasie próby przejęcia budynku podejmuje Estrada, szybko się z tego wycofując. Zapomina tylko o zwróceniu telefonu teatru. W listopadzie 1986 roku próby podjęcia akcji ratunkowej dokonuje, powstały z inicjatywy ludzi skupionych wokół Polskiego Radia, Społeczny Komitet Odbudowy Starego Teatru. Po rocznych spotkaniach ta grupa ludzi dobrej woli zaprzestaje swoich spotkań. Stary Teatr umiera nadal w matni przepisów, zarządzeń i bezowocnych sporów. 19 lutego 1987 roku przedstawiciel PKZ informuje o rozpoczęciu na wiosnę robót przy podbijaniu fundamentów. Prace te zostają rozpoczęte dopiero w ubiegłym roku. A czas znowu dokonuje dzieła zniszczenia. Wilgoć wdiera się przez wybite szyby i nieszczelny dach do przybytku Melpomeny, w którym stawali kroki najpierwsi aktorzy narodowej sceny.

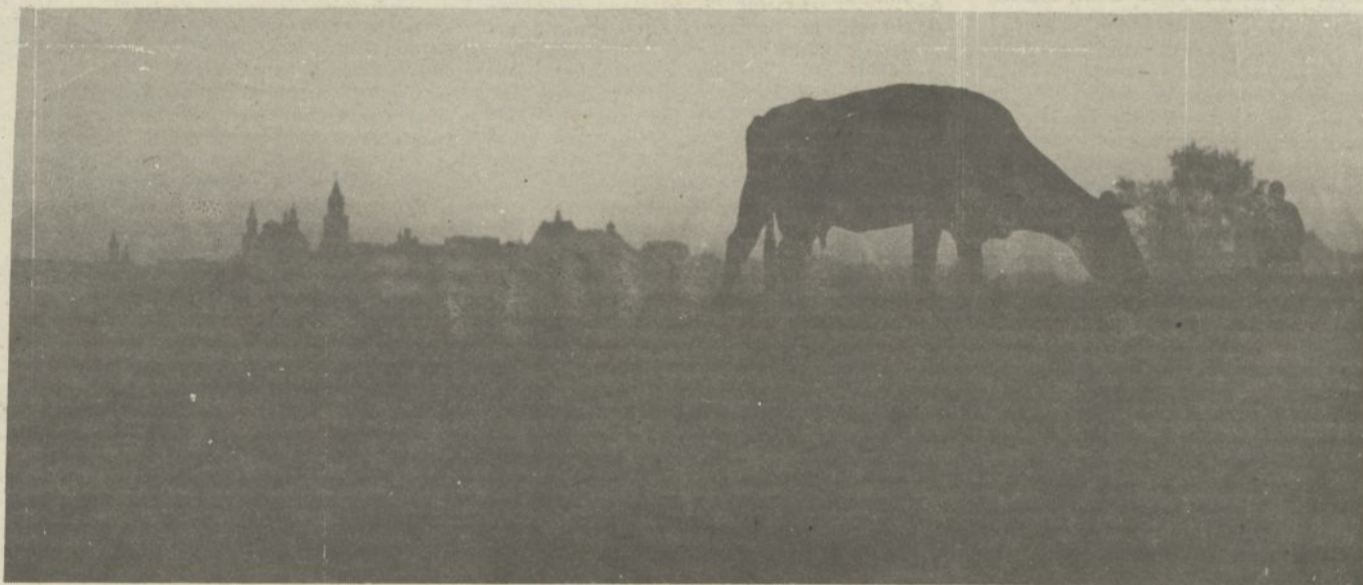
Spoglądam na portret Łukasza Rodakiewicza i przypominają mi się dzieje herbu z rodowego pierścienia Makowskich. I trzy włócznie, które kiedyś ochroniły króla i chroniły przez tyle lat Stary Teatr przy ulicy Jezuickiej...

Czas nadziei

NA ręce dyrektora Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego, który wykupił 2/3 budynku od właścicieli, wpłynął „projekt ratowania i przyszłego użytkowania Starego Teatru w Lublinie”, którego kopię otrzymała redakcja. Został on opracowany przez Towarzystwo Artystyczne „Panteon”. Poinformujemy o nim naszych czytelników, dziś zamieszczając pierwszy tekst o tym teatrze. Będzie ich więcej, gdyż pragniemy, aby Tygodnik Wschodni „Relacje” służył sprawie ocalenia najstarszego po krakowskim Teatrze Starym — budynku teatralnego w Polsce.

LUBLIN JAKI BYŁ

Fotografował Waldemar Stępień



Z niebudyto wyłonił się ser. Bez wątpienia jest to poważny sukces ekonomiczny, osiągnięty w okresie konsolidacji gospodarki. Należy oczekiwać radosnych oświadczeń, iż „w temacie” serów złotych osiągnęliśmy istotne nasycenie potrzeb społecznych zwiększoną masą towarową. A już się wydawało, że sery znikną całkowicie z pola widzenia, wzorem biało-czarnych telewizorów lub młynków do kawy. Tymczasem wygląda na to, że mają szansę stać się jedną z naszych rynkowych komęt Kohoutka, które — jak buty, baterie, cytryny i herbata — pojawiają się i znikają ze sklepów.

TRUDNO zresztą powiedzieć, by ser był. Raczej bywa, i trudno wpadać w zachwyt na widok złotych ogryzków, pojawiających się tu i ówdzie. Określenie, że „jest ser” oznacza dla mnie sytuację, w której o każdej porze, w każdym sklepie, mogę kupić każdy gatunek sera produkowany w Polsce. I tylko taki stan uznaję za normalne zaopatrzenie „w tym temacie”. W przeszłości istniała u nas sytuacja zbliżona do normalnej, ale dawno już maszyny do cięcia sera wyszły z użycia. Czy ten sam los spotka goudę i warmiński? Bardzo możliwe...

Polacy nie należą do „serojadów”, zjadają statystycznie ok. 3 kg sera na głowę (Francuzi — 21 kg, Włosi i Niemcy — 16 kg, Holendrzy — 13 kg). Ostatnie lata przyniosły jednak wyraźny wzrost spożycia serów twardych. Niekoniecznie jest to wywołane zmianą upodobań kulinarnych Polaków, a raczej zgłębia innymi czynnikami. Przede wszystkim brakiem mięsa, jego reglamentacją, oraz wysoką ceną, przynajmniej w ostatnim czasie. W ostatnich 16 latach produkcja serów wzrosła w Polsce przeszło trzykrotnie, podczas gdy dostawy mięsa spadły o 12 proc., a ryb aż o 80 proc. Ponadto sery relatywnie tanieją i dziś jeden gram białka kosztuje w sery — 1,61 zł, w jajach 3,47 zł, w mięsie — 3,70 zł, a w rybach — 6,25 zł. Po prostu ser stał się jednym z najtańszych produktów żywnościowych, w dodatku nie objętych reglamentacją i przez długi czas był powszechnie dostępny. Do czasu! Było bowiem jasne nawet dla analfabetów, że przy braku wielu artykułów przemysłowych, „żywnościowej” strukturze wydatków ludności i niedoborze innych źródeł białka, relacje cenowe skierują w końcu popyt na przetwory mleczne, w tym właśnie na ser. Wystarczy spojrzeć na dane obrazujące spożycie mięsa na 1 mieszkańca (60 kg rocznie), by zorientować się, że znajdujemy się w tej dziedzinie na jednym z ostatnich miejsc w Europie. Wyprzedza nas nie tylko Francja (104 kg), RFN (97 kg) czy Dania (80 kg), ale także NRD (96 kg), Czechosłowacja (86 kg) i Bułgaria (71 kg).

W spożyciu przetworów mlecznych jesteśmy natomiast typowym europejskim średniakiem, wyprzedzając m.in. Włochów, Hiszpanów i Belgów, ale ustępując wyraźnie krajom socjalistycznym o podobnej do naszej strukturze konsumpcji. Coś przecież jednak jest trzeba, skąd więc zatem to zdziwienie i urzędowy niesmak z powodu wzmożonych zakupów w sklepach nabiałowych?...

Jest kilka powodów nienormalnej sytuacji „dziury z serem”. Po pierwsze, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie byliśmy i nie jesteśmy mleczną potęgą. Owszem, ogólna wielkość produkcji mleka plasuje nas nawet dość wysoko w świecie. Jednakże po przeliczeniu tego na „statystyczną głowę”, okazuje się, że z 410 kilogramami mleka na mieszkańca (1987 rok) jesteśmy europejskim przeciętniakiem; obok Belgii i Luksemburga (403 kg), Szwecji (422 kg), Czechosłowacji (444 kg) i RFN (446 kg). Wyprzedzają nas m.in. NRD, Francja, Finlandia, Szwajcaria i Dania. Zdecydowanie niższy poziom produkcji mleka: poniżej 300 kg na głowę, miały natomiast (1986 rok) Węgry, Bułgaria, Rumunia i Hiszpania. W przeciwieństwie jednak do innych krajów, w których produkcja mleka wyraźnie rośnie, w Polsce permanentnie spada: z 459 kg na mieszkańca w 1970 roku do poziomu 411 kg w roku 1986. Polska jest jedynym krajem w Europie, gdzie w tym okresie spadła produkcja mleka!

Spada również pogłowie krów i w żaden sposób nie rekompensuje tej straty powolny wzrost ich mleczności. „To nie kryzys, to nie regres, to katastrofa!” — wołał w swoim głośnym artykule „Ryk krowy” Józef Kuśmierzek („Tygodnik Kulturalny” 21.08.1988).

Wskutek fatalnej polityki wobec mleczarstwa i hodowli, która spowodowała wybijanie krów, zwłaszcza w tradycyjnie „mlecznych” rejonach, mamy ich dziś o około dwa miliony sztuk mniej niż w 1970 roku! Jako się rzekło, nie jest w stanie powetować tych ubytków wzrost mleczności krów i wzrost zawartości tłuszczu w mleku, które to wskaźniki odbiegają zresztą wyraźnie od uzyskiwanych w krajach z nowoczesnym rolnictwem.

„SYTUACJA ŻÓŁTEGO SERA W PRL JEST WIERNYM ODBICIEM STANU TUTEJSZEJ GOSPODARKI”

SER W DZIURZE

Leszek Wiśniewski

TA surowcowa, powtórzmy za Kuśmierzkiem, katastrofa musiała się odbić na produkcji serów. Po prostu nie było z czego robić... Argument, że mleczarnie i tak pracują na pograniczu zdolności produkcyjnych (będzie i o tym mowa), jest śmieszny i głupi. W końcu z tego samego litra mleka robi się śmietanę, masło, twarog (nawiasem: żaden kraj EWG czegoś takiego nie produkuje) i sery twarde. Istnieje pewna zamienność produktów: albo masło albo ser, albo ser twarde, albo topiony. Aż 54 proc. tłuszczu zawartego w mleku zużywa się w Polsce na produkcję masła. I jeszcze trzeba je importować! Braki surowca powodują „podbieranie” części tłuszczu, z którego można byłoby robić sery. Zdolności produkcyjne? Sądzę, że mimo wszystko by się znalazły. Tylko nie trzeba było fundować sobie gigantów w stylu Pasłęka, Mrągowa czy Tych — zakładów, które do dziś są nie w pełni wykorzystane. Swoją drogą ciekawe, jak ekonomiczny mędrzec mógł wpasnąć na tak genialny pomysł, jak budowa olbrzymiej mleczarni na Śląsku, dokąd cały niemal surowiec trzeba przewozić z centralnej i północno-wschodniej części Polski? A ogólnie: po co nam w ogóle te giganty?

Brdnijmy dalej w tę głupotę. Jak, na przykład, inaczej nazwać sprowadzenie do Polski sera holenderskiego (1200 zł) w okresie letnim, a więc wtedy, gdy akurat istnieje wysoka produkcja mleka i gdy na rynku akurat był polski ser? I to jeszcze w sytuacji gdy nasze mleczarstwo cierpi na chroniczny brak dewiz. Na blachę ocynkowaną, na przykład?!

Blacha ocynkowana jest „sznurkiem” do snopowiązałki” polskiego mleczarstwa. Jedna tona kwasoodpornej blachy, przerobiona na urządzenia daje, na przykład, przyrost dziennej produkcji o cztery tony twarogu. Ten prosty skądinąd wyrób pochodzi jednak całkowicie z importu. Przekracza widać swoją prostotą skomplikowane procesy technologiczne, opanowane przez moczary polskiej metalurgii... Nic więc dziwnego, że pokryte kwasoodpornym metalem półki leżakowni serów, są ciągle zbyt krótkie.

Bariera technologiczna jest zatem drugim, obok braku surowca, hamulcem produkcji serów w Polsce. Wprawdzie w strukturze polskiego mleczarstwa dominują zakłady małe i średnie, ale — przestarzałe, których jest aż 88 procent. I nic dziwnego: blisko 500 zakładów pochodzi sprzed 1939 roku, około 250 — sprzed I wojny światowej! Zdecydowaną większość tych przedsiębiorstw trzeba by natychmiast wyłączyć (ochrona środowiska), lub jeszcze szybciej zmodernizować. Oblicza się, że straty produkcyjne, związane z czasowym lub całkowitym wyłączeniem starych zakładów, wyniosą rocznie ok. 15 tys. ton mleka do roku 2000. Przyrost mocy przerobowych na bieżący rok ma wynieść ponad 2 tys. ton. Nietrudno sobie zatem wyo-

brazie, że w tym tempie nie mamy wielkich szans na dogonienie rosnącego popytu.

Pomimo możliwości jego przerobu jak i produkcją serów wyraźnie wzrastały. I w ciągu 18 lat wzrosły blisko trzykrotnie! W kraju sparaliżowanym kryzysem... Trzeba sobie jednak wyraźnie powiedzieć, że uparte zaslanianie się Centralnego Związku Spółdzielni Mleczarskich brakiem zdolności pro-

mówiąc już o tak finezyjnych rzeczach, jak kubeczki do serka homogenizowanego.

Oczywiście, brakuje mleczarstwu możliwości rozszerzenia produkcji. Nie rozbudowuje się zakładów, nie inwestuje się, mimo rosnącego popytu na przetwory mleczne. Po prostu — nie ma żadnych środków własnych. Z naszego zysku odprowadzamy 65 proc. podatku dochodowego, 5 proc. podatku z tytułu zadłużenia, 20 proc. podatku stabilizacyjnego z zysku do podziału. I jeszcze 20 proc. od funduszu plac (podatek od wynagrodzeń) i dalsze 38 proc. do ZUS. Z resztą możemy już robić co nam się podoba. Dobre sobie, prawda? Więc my nie mówmy, że dotujemy mleczarstwo i że przemysł mleczarski jest deficytowy. Jaki deficyt? Kto to może w ogóle zmierzyć, jeśli ja nawet dokładnie nie wiem, jakie dotacje otrzymujemy — przedmiotowe czy podmiotowe i w jakiej wysokości zostaną przyznane. Całe planowanie opiera się w związku z tym na swoistym rachunku prawdopodobieństwa”.

ISTOTNIE, sprawa dotacji jest interesującą lamigłówką. Uczeń reformatorzy nie mogą się jakoś zdecydować na jasne postawienie pytania: co dotować? — skup mleka, czy cenę detaliczną jego przetworów? Bo że nie mleczarstwo, to jest jakby dosyć oczywiste. Tegoroczne dotacje do mleka przewyższają cały budżet oświaty i wychowania. Nie wiem w jakim normalnym kraju jest do pomyślenia taki idiotyzm! Absolutnie nie przemawia mi do przekonania argumentacja ministra Wróblewskiego, że dotacje do żywności są „społeczną koniecznością” oraz kamieniem węgielnym polityki finansowej państwa. A może wcale nie musimy niczego dotować? Dlaczego to litr mleka nie może kosztować 150 złotych, a kilogram sera 1200 złotych? Skoro litr mętów zwanych oranżadą sprzedaje się po 90 złotych, a importowana holenderska gouda jakoś jest kupowana za 1200 złotych. O cenach niektórych wyrobów tzw. przemysłowych w ogóle tu nie wspominał. I przestałmy się może posługiwać argumentacją czarnoksiężką, wywołując ducha strajkującego ludu.

„Mleko — uważa Tadeusz Mańkowski z zamofskiej mleczarni — to jest finezyjna inżynieria biochemiczna. Żywą krowę naprawdę trudno porównać nawet z superkomputerem. Z kolei produkcja sera jest najbardziej skomplikowanym technicznie i technologicznie procesem w całym mleczarstwie. Jest produkcją w wysokim stopniu pracochłonną, wymagającą przestrzegania reżimów technologicznych i receptur. Tymczasem mechanizmy fiskalne są tak ustawione, że sera po prostu nie opłaca się robić. Zniesiono wprowadzić sławetny „podpiwek” (podatek od ponadnormalnych wydatków na wynagrodzenia), ale przecież funkcjonował on całe lata, skutecznie hamując zwiększenie produkcji sera. W zgodzie z nim, za każdą wydatką dodatkowo na płace złotówkę trzeba było odprowadzać 5 złotych podatku. Tylko samobójca poszedłby w tej sytuacji na dodatkowe zatrudnienie przy serach, gdzie prawie wszystko robi się ręcznie”.

Prezes Mańkowski wie, co mówi. Jego spółdzielnia, jako jedyna w kraju, nie jest zrzeszona w Centralnym Związku Spółdzielni Mleczarskich. Dziś zaprasza go na spotkania sekretarz Banka, ale swego czasu umilano mu życie w inny sposób. Za to w Zamościu po prostu można kupić jego sery i może to też jest jakaś odpowiedź na pytanie: dlaczego?

Żeby było śmieszniej, istnieje jeszcze rozdzielnik. Otóż centralny mózg w Warszawie dzieli coś, czego nie ma. Ser w tym wypadku. I ustala, bez wątpliwości w zgodzie z zasadami społecznej sprawiedliwości, ile deko sera trapiistów przypada na statystyczną głowę mieszkańca Łomży, Suwałk oraz Pikułkowa Dolnego. Poważni skądinąd publicyści zastanawiają się, czy aby na pewno rozdzielnik respektuje ową socjalistyczną sprawiedliwość i dlaczego, dajmy na to, taki mieszkaniec Torunia zjada więcej sera niż obywatel Radzyna, który mu te sery przysyła. Przecież ten, z Torunia, może mu się zrewanżować co najwyżej piernikiem... Co ma piernik do wiatraków! Ja, na przykład, mam w wiatraku taką sprawiedliwość. I w ogóle nie interesuje mnie ile, czego i kto powinien jeść. Sprawiedliwy rozdział biedy, to hasło jakby nie z tego etapu. Sam nie wiem z jakiego? Mamy w każdym razie jakiś nowy i podobno — priorytet. Wszystkiego najlepszego!

W poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: gdzie ją znaleźć? — odbyłem mały rekonesans po lubelskich mleczarniach. Natknąłem się na trzecią barierę: finansowo-ekonomiczne warunki działania przetwórstwa mleczarskiego. I ta wydaje się być najwyższą, choć jednocześnie najprostszą do rozebrania, ze wszystkich do tej pory omówionych.

„Jeszcze kilkanaście lat temu — twierdzi prezes Maliborski z Łukowa — jeździłem po kraju z serami, żeby je komuś wcisnąć. Nie było zbytu. Teraz robimy 300 tysięcy ton i wyjmują nam wszystko spod ręki. Kończy się okres dojrzewanania i jazda! Wie pan, to jest zdumiewająca sprawa, przecież zmodernizowaliśmy linię technologiczną, zwiększyło się produkcję i nie sposób nadażyć. Oczywiście, mógłbym rozbudowywać zakład, tylko skąd wziąć środki? Pan chciałby ode mnie strategicznego myślenia, a ja nie wiem nawet, jakie otrzymam dotacje i jaki będzie miał wskaźnik zysku za zeszyły rok. Nie wiem, ile mogę ludziom wypłacić...”

Włodzimierz Romanowski, szefujący w OSM w Lublinie, jest podobnego zdania. „Sytuacja żółtego sera w PRL jest wiernym odbiciem stanu tutejszej gospodarki. My jesteśmy jako mleczarze, obciążeni odpowiedzialnością za sytuację na rynku. A o czym my decydujemy? Reforma, te sławne 3X5, przejawia się w mleczarstwie jako Samodzielna Sprzedaż Serwatki. Nie ma mowy o jakiegokolwiek kalkulacji ekonomicznej. Placimy za surowiec, czyli za mleko, 85—120 złotych za litr, a sprzedajemy po 19 i 38 złotych. Wyrób je i zatem tańszy od opakowania. To czysta paranoja! Sam surowiec do produkcji sera kosztuje 800 złotych, zaś do sprawozdawczości bierze się cenę zbytu 400 złotych. A koszty przerobu, płace, transport?... Paradoksalne, ale nam mleczarzom w ogóle się nie opłaca robić tego sera. O wiele korzystniej byłoby produkować śmietanę. Albo kazeinę. Tona kazeiny kosztuje w eksporcie prawie 5 tysięcy dolarów. To jest interes! A raczej byłby, gdybyśmy dysponowali tymi pieniędzmi. Nawet mamy odpis dewizowy, ale nikt tych pieniędzy nie ogląda. Wszystko idzie na niezbędny import zaopatrzeniowy. Sprawdzamy nawet naklejki na sery, nie

ENCYKLOPEDIA CZY PODRĘCZNIK AGITATORA?

Andrzej W. Pawluczuk

ZAPEWNE nigdy nie przyszłoby mi na myśl recenzowanie encyklopedii, gdyby nie zainteresowanie Republiką Korei, wywołane niedawną olimpiadą w jej stolicy — Seulu. Chciałem sprawdzić jakiś drobny błąd, sięgnąłem do 4-tomowej Encyklopedii Powszechnej PWN (dwa wydania w latach 1973—87) i złapałem się za głowę. Jeszcze większa ogarnęła mnie groza, kiedy zajrzałem do wydanego kilka miesięcy temu „Suplementu”, sygnowanego jako tom 5, uzupełniającego i korygującego hasła, zwłaszcza z pierwszego wydania „EP”. Pal sześć te błędy rzeczowe, do których przez 45 lat realnego socjalizmu człowiek jakby przywykł, tzn. błędy wynikające z doktryny, w której myśl, fakty — o których się nie mówi — nie istnieją. Ale i w tej mierze — miałem nadzieję — istnieje już dzisiaj (w roku 1988!) jakaś granica, a przynajmniej większa niż przed laty przywoitość. Ale gdzie tam! W dalszym ciągu pod przykrywką encyklopedii uprawia się nachalną, a przez to niesmaczną propagandę oraz zwykłe oszustwa.

Zacznę od hasła „Korea”, które tak mnie zirykowało. Oto czytamy, że KRL-D „należy do najlepiej gospodarczo rozwiniętych krajów Azji”, podczas gdy „Korea Południowa” jest „krajem gospodarczo słabo rozwiniętym, uzależnionym ekonomicznie i politycznie od USA. Podstawą gospodarki jest rolnictwo” (II wyd. „EP” z roku 1984). Jak koryguje tę informację „Suplement”? W ten sposób, aby w dalszym ciągu utrwalić negatywny obraz tego państwa. Powiada się bowiem, że jest to zaledwie kraj „przemysłowo-rolniczy, uzależniony ekonomicznie od USA i Japonii”.

Za kryterium prężności gospodarczej przyjmuje się w PWN wielkość dochodu narodowego wytworzonego przez przemysł, a ta wynosi dla KRL-D aż 75 proc. (w Szwecji np. — 30 proc., a we Francji — 35 proc.). Wielkość to zaiste imponująca, gdyż w „Korei Południowej” tylko 31 proc. dochodu narodowego wytwarzane jest przez przemysł. Ale (trzymajmy się Azji, bo może tu jest inaczej niż w Europie?) dlaczego wobec tego Japonia „jest najlepiej rozwiniętym gospodarczo państwem Azji”, skoro przemysł tworzy tam zaledwie 34 procent dochodu narodowego, a więc przeszło dwa razy mniej niż w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej? Np. w Albanii też są dobre wskaźniki, przemysł wytwarza tam aż 43 procent dochodu narodowego. Czyżby więc Albania była krajem lepiej rozwiniętym od Japonii, Republiką Korei, Szwecji i Francji? I czy ktokolwiek powie o Kanadzie, że jest to kraj ekonomicznie uzależniony od USA, chociaż w głównych gałęziach przemysłu udział kapitału amerykańskiego wynosi tam 60—70 procent?

To pomieszczenie informacji z propagandą (a przy tym brak rzetelnej wiedzy na temat współczesnych zjawisk gospodarczych) daje kuriozalne zaiste efekty, a bierze się zapewne stąd, iż autorzy „Encyklopedii Powszechnej” i „Suplementu” nie mogą się zdecydować jaki jest ich polityczny stosunek do: 1) kapitalizmu jako systemu gospodarczego i 2) do Republiki Korei, której odmawia się na dodatek statusu suwerennego państwa. Otóż właściwa nazwa państwa południowokoreańskiego brzmi Republika Korei, a nie „Korea Południowa”, jak piszą uparcie nasi encyklopedyści. I chociaż wydusiłi oni z siebie, że „Korea Południowa” jest „państwem”, to jednak państwem bez stolicy, gdyż Seul nazywany jest konsekwentnie w „EP” i w „Suplemencie” tylko „głównym miastem”.

A zatem, według autorów „Encyklopedii Powszechnej PWN” z dwóch państw koreańskich tylko KRL-D, zaprzysiężona z PRL, posiada stolicę. Seul natomiast, jak pisze się w I wydaniu „Encyklopedii” jest „od 1948 r. siedzibą reżimu Korei Pd”. Zaś w „Suplemencie” hasła „Seul” — brak.

Tego rodzaju propagandowe zacieńczenie przybiera czasami charakter humorystyczny, jak w przypadku hasła „Stany Zjednoczone”. Otóż mocarstwo to określone jest jako „najlepiej rozwinięty kraj kapitalistyczny”. Hm, po cóż ten przymiotnik „kapitalistyczny” skoro jednak przyznano, że pod względem gospodarczym ZSRR ustępuje Ameryce? Któż to zgadnie. Krętymi ścieżkami chodzi wszak myśl kogoś, kto usiłuje nas przekonać o ekonomicznej wyższości socjalizmu nad kapitalizmem.

USPOSOBIONY odpowiednio przez tak „rzetelne” (jak wyżej) informacje otwieram „Suplement” na hasło „Polska” i czytam: „W Polsce Ludowej nowe warunki ustrojowe pozwoliły na szerokie rozwinięcie działalności w zakresie nowoczesnie pojmowanej ochrony przyrody we wszystkich jej aspektach. Polska należała do krajów przodujących w tej dziedzinie”. I dalej na czterech kolejnych szpaltach druku, na znakomitym papierze satynowanym klasy III wylicza się efekty tego przedsięwzięcia w postaci „ustaw”, „podjęcia zdecydowanych kroków”, „zobowiązania do instalowania urządzeń” i „rozwinętych prac nad nowymi metodami”. Ba! — „Problemom ochrony przyrody i środowiska wiele uwagi poświęcają PZPR, SD i ZSL, a także inne organizacje społeczne, jak np.: mająca wieloletnie tradycje Liga Ochrony Przyrody, Straż Ochrony Przyrody, Polskie Towarzystwo Leśne i niektóre inne stowarzyszenia zrzeszone w NOT, organizacje młodzieżowe, głównie ZHP, ZSMP, ZMW, ZSP” itd. To też, konkludują encyklopedyści, „w dziedzinie ochrony środowiska uzyskano w ostatnich latach widoczny postęp”.

W tym przypadku trudno autorów „złapać za rękę”, ponieważ posłużyli się klasycznymi chwytami retorycznymi nowomowy. Jeżeli jednak spróbujemy odsiać informacje od propagandowego szczebiotu, to wyłoni się z powyższego obraz następujący. W tzw. starych warunkach ustrojowych — to znaczy do roku 1939 — Polska miała być krajem bardziej zanieczyszczonym i zdegradowanym ekologicznie. Jest to ewidentna bzdura, którą pozostawiam bez komentarza. Drugą nieprawdą jest, jakoby w ostatnich latach „uzyskano widoczny postęp”. Akurat odwrotnie: uzyskano widoczne pogorszenie, o czym się pisze i mówi głośno (nawet w Sejmie). Wreszcie, po trzecie, użyto w tym hasle fałszywych danych liczbowych, że „nadal jednak na około 3 procent powierzchni kraju występuje stężenie zanieczyszczeń wyższe od norm międzynarodowych i polskich”.

Prawda jest tymczasem taka, że ten obszar stale się powiększa i stanowi dzisiaj przeszło 11 procent powierzchni Polski (przeszło 35 tys. km kwadratowych), a mieszka na nim blisko 13 milionów Polaków. To jest katastrofa, a informacja, że na „około 3 proc. powierzchni kraju” przekroczone są normy — to zwykłe oszustwo.

Hasło „Polska” liczy sobie jeszcze 55 stron gęstego druku, ale darujemy sobie dalsze przykłady. Dodam tylko, że nawet mało skrupulatny czytelnik mógłby to i owo dorzucić do następujących podrzdziałów tego hasła: historia (np. „Suplement” nie koryguje lansowanych do niedawna oficjalnie fałszywych wizerunków takich wybit-

nych Polaków jak Piłsudski i Mikołajczyk, nie wspomina o Katyniu czy tragicznym losie Polaków, którzy po 17 września 1939 roku znaleźli się na wschodnich ziemiach RP), gospodarka, reforma gospodarcza, ustroj państwowy, system partyjny, siły zbrojne, oświata i szkolnictwo wyższe, nauka, literatura, sztuka, teatr, film, prasa, radio i telewizja oraz Polska w świecie współczesnym. Ale zatrzymajmy się jeszcze chwilę przy podrzdziale „ludność”, gdzie ani pół zdaniem nie zająknięto się, że w granicach PRL znalazła się kilkusetkrotna mniejszość białoruska, ukraińska, łemkowska i litewska, i że Łemków oraz Ukraińców deportowano z ich historycznych ziem.

Do ciekawych wniosków dojść można patrząc na tzw. rozłożenie akcentów. Oto np. znany (także w Polsce) amerykański pisarz i aktor Peter Ustinov pojawia się dopiero w II wydaniu „EP”, a i to zaledwie w siedmiu wierszach (bez fotografii). Natomiast już od pierwszego wydania towarzyszy nam na dwunastu wierszach Ustinow Dmitrij (wraz ze zdjęciem), marszałek ZSRR i kandydat do Rady Najwyższej. Ani w „Encyklopedii”, ani w „Suplemencie” nie znajdziemy hasła „Fieldorf August Emil”. Ten wybitny Polak, twórca i pierwszy dowódca Kedywu AK, skazany następnie w PRL na śmierć i w roku 1953 stracony w piwnicach UB (do dzisiaj nie wiadomo, gdzie znajdują się jego prochy) nie zasłużył sobie widocznie, aby figurować w polskiej(?) encyklopedii. Znajdziemy w niej za to 13-wierszową informację (i zdjęcie) o bułgarskim działaczu politycznym Trajkowie Georgim. A może przy hasle „Kedyw” znajdziemy choćby wzmiankę o generale „Nilu”? Jest! — w II wydaniu wymienia się jego nazwisko obok drugiego dowódcy Kedywu, płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”. Ale tylko ten ostatni zasłużył na hasło. Czyżby dlatego, że był działaczem ZBoWiD?

Nawet informacje dotyczące niektórych laureatów Nagrody Nobla poddane zostały odpowiedniej selekcji. Oto np. przy nazwisku Aleksandra Sołżenicyna (i tylko przy tym nobliście) nie podano narodowości. To, że nie ma o nim informacji w I i II wydaniu „EP” można jeszcze od biedy jakoś wytłumaczyć, ale dlaczego pomija go milczeniem „Suplement”? Przy nazwisku laureata nagrody pokojowej, czyli Lecha Wałęsy, podano wprawdzie narodowość, ale dopisano, iż „przyznanie nagrody miało charakter polityczny”. A jakież, na Boga, ma charakter Pokojowa Nagroda Nobla, jeśli nie polityczny? Ale osobnego hasła „Wałęsa” również nie znajdziemy, mimo że informuje „Suplement” o przywódcy OPZZ, czyli Alfredzie Midowiczu. W zbiorczej tabeli „noblistów” znajduje się też nazwisko wybitnego Rosjanina, Josifa Brodskiego. Brak zaś hasła osobowego „Brodski” tłumaczyć chyba można przesadną strachliwością redaktorów PWN.

BARDZIEJ eleganccy wobec swoich „dysydentów” są Rosjanie. I „Bolszaja Sovietskaja Encyklopedija” z roku 1976 i „Sovietskij Enciklopediceskij Słownik” z 1982 roku zamieszczają hasło „Sacharow”, chociaż wtedy znajdował się on jeszcze na zesłaniu w Gorkim. Naszych encyklopedystów natomiast nie było stać na umieszczenie Lecha Wałęsy, postacią nie znaną jest dla nich także Andrzej Sacharow, wysłany dzisiaj za granicę w oficjalnych misjach przez rząd ZSRR. Nie znajdziemy w „Suplemencie” informacji także o Amnesty International, chociaż organizacja ta nigdy nie zagrażała ustrojowi socjalistycznemu w PRL.

Już tylko z kronikarskiego obowiązku szukam hasła „Związek Literatów Polskich” oraz „Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich”, by stwierdzić, że i tam nakłamano. Tak więc ZLP „w VII 1983 rozwiązano za naruszenie przepisów prawa i statutu związku”. To oczywiście oszustwo informacyjne pozostawiam bez komentarza. Natomiast o SDP napisano w „Suplemencie” tak: w „1981 władze SDP prowadziły działalność polityczną o charakterze opozycyjnym”. Akurat należałem wówczas do władz Stowarzyszenia (byłem członkiem Rady SDP) i nie przypominam sobie, aby nasza działalność była opozycyjna. Sprawdzam jednak, co należy rozumieć przez opozycję, może się bowiem okazać, że nie mam racji. W „Suplemencie” znajduję hasło „opozycja”, ale odnosi się ono do zjawiska astronomicznego. Opozycji politycznej zatem, wedle autorów encyklopedii, w Polsce nie ma. Wprawdzie w hasle „Solidarność” wymienia się „ekspertów i doradców KOR i KPN”, ale co oznaczają te tajemnicze skróty, już się nie wyjaśnia.

TAK więc za cenę 4 600 złotych można nabyć niezwyklejszy bubel, nazwany szumnie piątym tomem „Encyklopedii Powszechnej PWN”, gdzie nie odróżnia się propagandy od informacji. Ale jest to ponadto bubel w elementarnym znaczeniu słownikowym. Nie waham się użyć tego słowa, skoro przy bardzo pobieżnym przeglądaniu „Suplementu” natknąłem się na dwa poważne błędy liczbowe, przepuszczone przez beżwysłną korektę. Oto one. W hasle „Norwegia” powiada się, że 1 212 tysięcy turystów zagranicznych zostało w tym kraju 815 tys. dolarów, co oznacza, że jeden turysta wydał 67 centów. Oczywiście nonsens. Zaś w hasle dotyczącym Portugalii informuje się, że w miastach mieszka tam zaledwie 29,7 proc. ludności. Zaraz obok podane są inne liczby: Lizbona liczy sobie 2 065 tys. mieszkańców, a Porto — 1 556 tys., co przy całej ludności Portugalii (10 230 tys.) daje 35 proc. ludności miejskiej. A przecież oprócz Lizbony i Porto znajduje się w tym kraju co najmniej jeszcze kilkadziesiąt miast. Ile podobnych błędów znalazłbym, czytając cały „Suplement” uważnie? Wolę nie wiedzieć, choć przypuszczam, że sporo, albowiem niechlujstwa merytoryczne jest tu wyjątkowo dużo.

A przecież oprócz tego, że encyklopedia pełni funkcje czysto informacyjne, powinna być ona podstawowym kompendium wiedzy historycznej i tradycji kulturowej swojego kraju. Tymczasem znajdziemy w obu wydaniach i w „Suplemencie” mnóstwo nazwisk zagranicznych generałów, marszałków, działaczy, aktorów i drugorzędnych literatów, a nie znajdziemy nazwisk wielu wybitnych Polaków, którzy zginęli męczeńską śmiercią za to, aby Polska była wolnym krajem. O innych, jak np. o generale Leopoldzie Okulickim, powtarzane są kłamstwa, sformułowane dawno temu przez zagraniczny aparat propagandowy. Znajdziemy nazwiska literatów Koprowskiego i Waśkiewicza, a nie znajdziemy wybitnego pisarza tworzącego na wygnaniu Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, zaś informacja o Józefie Czapskim zawiera prawie same błędy. Jest Sergiej Kowalow, dyrektor muzeum ateizmu w Leningradzie, nie ma Stefana Bratkowskiego. Jest czterech działaczy ruchu robotniczego na literę M., nie ma Stefana Korbońskiego. I tak dalej, i tym podobne... Są wreszcie niesłusznie oskarżeni i straceni w USA Sacco i Vanzetti, nie ma o skrytobójczo zamordowanym ks. Jerzym Popiełuszce.

Można te przykłady mnożyć w setkach. Wyłowilem tylko niektóre błędy, kłamstwa i przemilczenia, gdyż wiele dziedzin wiedzy jest mi obcych i nie potrafię niczego powiedzieć o hasłach dotyczących nauk ścisłych, ekonomii czy prawa. Ale najgorsza — powtórzmy — rzeczą w encyklopedii jest mieszanie propagandy z informacją, a chciejstwa politycznego z faktycznym stanem rzeczy. W każdym razie wydaje mi się, że wydawnictwo mające się za „naukowe”, powinno czym prędzej odzegnać się od praktyk, o których dawno zapomniano w cywilizowanych krajach.

„Encyklopedia Powszechna PWN” t. 5, „Suplement A—Z”. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, wyd. II, 1988. Nakład 100 tys. egz.

Dziennik wojenny Wacława Filszińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Anopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Filszińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Plechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Filsziński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Anopolu) zamieszka w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów, położonej na północy ZSRR republiki Komi, aż po winnice słonecznej Italii.

M.D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Filsziński *Córce mojej poświęcam*

18 września 1939, w nocy.

Na dworcu kolejowym w Łucku.

Zawróciliśmy z drogi. Powrotny marsz ubezpieczony. Broń naladowana, bagnet na broń. W przodzie — szpice. Godziny lecą szybko. Około południa 18 września stajemy w mieście Otyka przed budynkiem szkolnym, gdzie mieści się jeden z naszych szpitali wojennych, bodajże nr 204.

W Otyce jakieś nadzwyczajne ożywienie i podniecenie. Zbierają się tłumy ludzi. Parami przychodzą dzieci szkolne wraz z nauczycielkami.

Mamy wkrótce wyruszać z Otyki; jakiś miejscowy obywatel z czerwona opaską na ramieniu, jak się okazało — nauczyciel, oświadczył: „My nie chcemy mieć uzbrojonych ludzi w tłumie”.

„Nie ma rady — mówi kapitan Kowal. — Siadać na wozy, jedziemy!” Ale okazuje się nagle, że nie mamy koni. Wóźnicy zmówili się i wyprzęgli konie z wozów, aby nie jechać dalej z polskim wojskiem.

„Skąd te tłumy wokół?” — pytam jakiegoś przypadkowego przechodnia.

„Jak to, pan nie wie? Nowy Rząd tu przyjeżdża!”

Jakiś to znów ma być rząd? Przecież Otyka to żadna stolica.

Z wybięciem godziny dwunastej w południe jakiś domorosły organizator wszedł na wielki przydrożny kamień i odczytał orędzie w języku ukraińskim. Krzyk, hałas, wrzawa — podobno: radości. „Haj, żywe!” — słyszałem.

Kto i dlaczego?

W niespełna dziesięć minut po odczytaniu orędzia podchodzą do każdego z wojskowych ludzie z opaskami na ramieniu, żądając: „Dawaj wintowku!”

Broni żaden z szeregowych nie miał przy sobie. Tylko oficerowie mieli rewolwery u pasa. Natomiast na jednym z wozów leżało kilkanaście karabinów i trochę ostrej amunicji. „Panie kapitanie — pytamy — co, robisz?” Skinął, przywołując głową: „Bier, bier...”

Zabrali wszystkie karabiny i amunicję. Pozostały na wozach maszyny do pisania i kartoteki oficerów z ich przydziałami MOB.

Po maszynach przeszli później. Zabrali trzy sztuki. Przerewidowali cały wóz.

Resztę nie zabranych rzeczy i własny dobytek oraz materiały kancelaryjne załadowaliśmy na jeden wóz ze szpitala polowego. Przy rekwizowaniu ładownic z amunicją zabrano mi mój pas wojskowy. Interweniowałem u dowódcy oddziału „rozbrajający”. Oddał pas.

Rozbity nasz oddziałek, w składzie: dwóch oficerów, kilku podoficerów i szeregowców, wymaszerował z Otyki przy wórze okrzyków miejscowej ludności oraz straży obywatelskiej: „Niech żyje wołna i niepodległa robotniczo-włościańska Polska”, „Niech żyje” — odpowiadaliśmy.

Za miastem — chwilowy postój. Dotarliśmy do stacji kolejowej Otyka. „Może uda się załapać jakiś pociąg jadący w stronę Lublina?” — zastanawia się kapitan Kowal. Właśnie wjeżdżał na dworzec pusty pociąg towarowy. Po chwili już się do niego ładowaliśmy.

„Witajcie!”, słychać: „Skończyły się wasze czasy!”. Okrzyki te wznosi przeważnie ludność żydowska.

Uplęło nam kilka godzin na ulicy, przy Komendzie Placu. Wreszcie pada rozkaz: „Dawaj, w pierod!”.

Czoło posuwa się naprzód, w ślad za nim — liczące setki ludzi kolumny. „Dokąd nas prowadzą?” — pyta jeden drugiego.

Początkowo sądzono, że idziemy w kierunku stacji kolejowej. Istotnie tak było. Ale kiedy doszliśmy do stacji, nie zatrzymaliśmy się, tylko poszliśmy szosą dalej, na Dubno odległe 56 kilometrów od Łucka. Tak maszerujemy całą noc i cały dzień następny. W ciągu całego marszu z Łucka do Dubna nie dostaliśmy żadnej strawy. Każdy się żywił tym, co mu pozostało w chlebaka. Jeżeli coś pozostało...

Zmęczeni, utrudzeni drogą, z podbitymi ciągłym marszem nogami, docieramy 20 września o godz. 17 do przedmieścia Dubna.

Dubno,
20 września 1939.

Dłuższy wypoczynek na przedmieściu Dubna. Moczyliśmy nogi w przydrożnej strudze. Wokół zebrała się okoliczna mieszczańcy. Jedni witają nas złośliwymi spojrzami, inni, mniej liczni — lżą w oku. Wyzywająco zachowują się Żydzi.

Wreszcie — odmarsz. Po przejściu kilku ulicami Dubna skierowano nas na szosę biegnącą w stronę Ostroga. Na jej skraju przysiedliśmy czekając, aż zapadnie decyzja, gdzie właściwie mamy być umieszczeni.

Stoją przy nas patrole sowieckie. Skośnooki Mongoł ze sztykiem nasadzonym na karabin ostrzega, aby nie próbować ucieczki. A komu po takiej ciężkiej drodze chciałoby się w tej chwili uciekać? A może...?

Maszynista, Polak, powiedział, że jedzie do Łucka.

Dojechaliliśmy do Łucka bez przeszkód.

Na sąsiednim torze stał opustoszały pociąg osobowy bez parowozu. Ktoś nam powiedział, że następnego dnia wyruszy on prawdopodobnie w stronę Chelma. Poukladaliliśmy się wygodnie na ławkach w tym martwym pociągu, mającym wkrótce potoczyć się na zachód, ku naszym domom...



Posterunek graniczny; wrzesień 1939. Autor rysunku nieznan.

Repr. Waldemar Stępień

Nocą z 18 na 19 września słychać było szmazy karabinowe oraz warkot motorów czołgowych i samochodowych. To wkraczały do Łucka pierwsze kolumny czołgów sowieckich, obsadzając ważniejsze punkty w mieście i okolicy.

Łuck — Dubno,
19 września 1939.

Co będzie dalej? Od rana ludność cywilna dobiera się do wagonów kolejowych z zapasami żywności i umundurowania, stojących na sąsiednim torze, zabierając wszystko, co się daje zabrać. Początkowo nikt tego nie zabrania, ani my, ani bolszewicy.

Około godz. 7 rano nad stacją na dworcu pociągami przeleciało kilka sowieckich samolotów.

W pociągu osobowym, w którym kwaterujemy, bardzo dużo wojskowych i ludności cywilnej. Wszyscy niecierpliwie czekają na podstawienie parowozu.

Około godz. 10 przybywa na dworzec oddział żołnierzy sowieckich, obstawiając cały nasz pociąg. Dowódca wydaje rozkaz, aby wszyscy wojskowi opuścili wagony i udali się na pobliski plac.

Wysypało się dużo wojska, uzbrojonego i nieuzbrojonego.

Po odebraniu broni, a także — rewolwerów posiadanych przez niektórych żołnierzy, ustawiono nas w setki i pod dozorem kilkudziesięciu „bojów” poprowadzono do Komendy, Placu w mieście.

Szliśmy witani okrzykami przez wyłęgłą na ulice ludność. Ale zamiast:

pasowej 2. Szpitala Okręgowego w Lublinie. Po prostu — wrzuciliśmy je do studni, dokąd chodziliśmy po wodę.

Po pewnym czasie pada rozkaz: „Stanowis, stanowis!” Stajemy na drodze w czwórkach. Okazuje się, że pomaszerujemy — nie w stronę stacji kolejowej jak przypuszczaliśmy, ale do koszar 43 Pułku Strzelców Kresowych.

Na terenie koszar, które są wokół strzeżone przez wojsko sowieckie, przebywamy kilka dni. W tym czasie otrzymujemy skromne pożywienie, głównie — nasze suchary wojskowe. Oczywiście — nie gotowanego.

Dzięki temu, że do naszej małej trzyosobowej grupy dołączył jeszcze jeden kolega, ze szpitala w Równem, dostajemy podwójne porcje żywności. Po prostu: kolega ten wypisał dla nas podwójne listy zaopatrzenia.

Dni upływają na oczekiwaniu dalszego wyjazdu; być może — do domu. Stale trzymają nas w napięciu obiecując, że po zarejestrowaniu otrzymamy przepustki na najbliższy transport kolejowy i powrócimy do swoich rodzin, jako że wojna polsko-niemiecka jest zakończona. Skończyło się na obietnicach.

W koszarach 43 Pułku Strzelców Kresowych w Dubnie,
21 września 1939.

Trudno zebrać myśli. Mieli nas wypuścić z obozu jenieckiego po wydaniu przepustek, uprawniających do przejścia na tereny na wschód od Bugu. Nie dają jednak. Nie robią nawet biur spisowych.

Któs przyniósł wiadomość, że ze względu na duży stan osobowy naszego obozu w Dubnie, trudności z wyżywieniem i zakwaterowaniem, mamy odejść do innych obozów. Gdzie? Po raz pierwszy pada nazwa — Szepietówka. To... przecież już w Rosji Sowieckiej!

Wydają nam żywność na drogę. Polskie suchary z wojskowych zapasów i po kawałku słoniny. Przebiegli chodzą do magazynu po dwa razy, przedstawiając nowy, zmyślony spis ludzi, za których „zaprowiantowanie” odpowiadają.

Gdzieś w kącie odbywa się dobrowolna degradacja stopnia wojskowego: odpruwanie „bolek” lub „gwiazdek” z naramienników. W innym kącie ktoś niszczy dokładnie dowody osobiste i legitymacje wojskowe. Bolek Rysak mnie, a ja — jemu odcinamy odznaki stopni. Wielkie stopnie: plutonowy rezerwy!

Jest wiele sposobności na wymienienie płaszczy wojskowych typu oficerskiego na zwykłe, żołnierskie. W cenie dzisiaj — prosty żołnierski płaszcz lub mundur.

Nie ma naczyń na strawę. Naktąłem się na poznanego niedawno kolege, dźwigającego duży sagan jakiejś zupy. „Dałbym ci trochę, ale w co mam nałać?” — powiada. „Idź i poszukaj na strychu koszarowym...”

Znalazłem. Biegnę uszczęśliwiony nabytkiem. Kolega rzucił okiem znawcy na zdobyte naczynie i wrzucił ramionami: „Przecież to urynał szpitalny!” No więc, skoro przyjął orzekł, że ten „garnek” przeznaczony jest zupełnie do czego innego niż gotowania, wyrzuciłem swoją zdobycz na śmietnik. Nim jednak zdążyłem odejść, już ktoś inny wziął urynał w posiadanie.

Mieszkałem chwilowo w jednej z sal Izby Chorych pułku. Sale duże, widne, podłoga parkietowa. Umywalka i ustępy były może kiedyś miłym „ustrojeniem”. Dzisiaj przedstawiają widok godny pożalowania. Smród niesie się na wszystkie sale. Któs napisał na kartce ostrzegawczo: „Brak wody do splukiwania. Używaj muszli jako pisuaru, a nie ustępu”. Niewiele ten napis pomaga. Inna rzecz: gdzie tu wyjść, skoro nie urządzono dotychczas miejsc ustępowych na zewnątrz? Takich zwykłych, systemem polowym: kładka i dół kloaczny.

Ze zmrokiem kładziemy się spać. Głowa pełna wrażeń i obrazów nowo poznanych twarzy. Szukam legowiska pod ścianą na podłodze. Obok mnie Bolek Rysak i inni, w drodze poznani koledzy. Zamykam oczy, puszczałem wodze myśli, i znajduję się przy Was moje jedyne i ukochane — moja żona Julu i moja córeczko Basieńko.

(Koniec odcinka 2. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Miroslaw Derecki

Korzystając z dłuższej przerwy w marszu, zniszczyłem posiadane przy sobie pleczę Dowództwa Kadry Za-

JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA ? (6)

„STALIN PROPONOWAŁ, ABY BIERUT STAŁ SIĘ BEZPARTYJNYM”

Janusz Wrona

WŁADZĘ i możliwość jej utrzymania komuniści polscy zawdzięczali w pierwszym okresie Armii Czerwonej. Ona też wzięła na siebie, w lipcu i sierpniu 1944 roku, główny ciężar walki o ugruntowanie pozycji PKWN, stworzenie dla nowej władzy swoistego przedpola, niezbędnego dla jej dalszego rozwoju. Nie miał co do tego złudzeń Józef Stalin, nie pozostawiał ich także przywódca PPR w kraju, gdy mówił o korzyściach, jakie stwarza komunistom obecność na polskiej ziemi Armii Czerwonej.

W relacji B. Bieruta i M. Roli-Zymierskiego, przedstawionej na rozszerzonym posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR 10 października 1944 r., słowa Józefa Wissarionowicza brzmiały następująco: „Wy macie teraz taką siłę, że jeśli powiecie 2 razy 2 jest 16, to wasi przeciwnicy potwierdzą to. [...] Ale tak nie będzie zawsze. Wtedy was odśuna i wystrzelają jak kurapatwy. [...] Gdyby nie było Czerwonej Armii — to przez tydzień was nie byłoby”.

Działania radzieckich służb bezpieczeństwa zneutralizowały AK, kosztem represji i deportacji do ZSRR tysięcy Polaków. Ale dla PKWN stworzono tym samym szansę dalszego działania i budowy własnego zaplecza politycznego. Wydarzenia te wpłynęły równocześnie na upowszechnienie się stereotypu, że jest to władza przez Moskwę narzucona i od niej zależna. Koszty polityczne i społeczne całej operacji stawały pod znakiem zapytania jej opłacalność. Miał tego świadomość W. Gomułka, gdy w maju 1945 r. na plenum KC PPR mówił: „[...] przy tych nastrojach grozi nam niebezpieczeństwo, że może przyjąć się zarzut o agenturze sowieckiej, że może nastąpić izolacja. Masy winny nas uważać za polską partię, niech nas atakują jako polskich komunistów, a nie jako agenturę”.

Latem 1944 r. Stalin nie widział poza komunistami alternatywnego ugrupowania, któremu mógł powierzyć władzę w Polsce. „Tow. Stalin powiedział — relacjonował B. Bierut — że historia postawiła nas na bardzo poważne stanowiska. Jeśli teraz nie zdamy egzaminu — to nigdy”.

Świadomi złożoności uwarunkowań zewnętrznych i wewnętrznych, komuniści przystąpili do tworzenia nowego systemu ustrojowego. Po latach Leon Chajn tak wspominał te chwile: „[...] w gronie kierowniczym, do którego wtedy jeszcze należałem i w pewnych rozmowach wewnętrznych, w których brałem udział, nasza obawa o utratę władzy w dużym stopniu oparta była o przesłankę, że jeśli nie my, to musi nastąpić dyktatura radziecka. Zmuszało nas to do różnych posunięć, czego niestety nasze społeczeństwo nigdy nie doceniało. Wychodziliśmy bowiem z założenia, że gdyby doszło do utraty władzy, to Związek Radziecki nie wycofa się z Polski i narzuci nam swoją władzę, która będzie z punktu widzenia interesów narodu i państwa polskiego mniej korzystna i sprawna aniżeli nasza. Uważaliśmy, że nasza władza, która wprawdzie nie reprezentuje większości i nie stanowi legalnej platformy do sprawowania rządów, to jednak chroni naród polski i Polskę przed gorszymi konsekwencjami. [...] Uważam za błąd w naszej kampanii propagandowej, że nie wskazywaliśmy, z kim wy zostaniecie, jeżeli my odejdziemy”. Podobny punkt widzenia reprezentował Jakub Berman w rozmowie z Teresą Torafską („ONI”, Londyn 1986).

Budując nowy system polityczny, komuniści mieli wizję, iż doprowadzi ona Polskę do socjalizmu, wzorowanego na systemie radzieckim. Nie określano jednak czasu i tempa planowa-

nych przemian, zdając sobie sprawę, iż zdecydowanie o tym rozwój sytuacji wewnątrz kraju, a także przemiany w świecie.

Konieczność rozbudowy wpływów PPR w społeczeństwie postawiła na porządku dziennym problem określenia form legalnego życia politycznego na wyzwolonych obszarach kraju. W środowisku komunistów w ZSRR dominowały koncepcje stworzenia systemu wielopartyjnego, opartego na dominacji partii marksistowskiej. Zakładano w związku z tym potrzebę dokonania istotnych przeobrażeń ideowych i organizacyjnych we wszystkich tradycyjnych kierunkach politycznych, łącznie z wymianą elit kierowniczych partii.

Na przełomie czerwca i lipca 1944 r. CBKP zwróciło się do Stalina z prośbą o zezwolenie na utworzenie w ramach ZPP grup partyjnych, stanowiących zalążki przyszłych „centrów” polskich partii demokratycznych. Warunkiem ich legalizacji było przyjęcie przez reprezentujących je działaczy platformy ideowej i programowej ZPP. Akceptacja Stalina spowodowała, iż w wyniku podjętych działań organizacyjnych w końcu lipca 1944 r. zaczęły działać w Moskwie swoiste „przedstawicielstwa” PPS i SL.

PODEJMOWANE w Moskwie przez polskich komunistów działania przeczą pojawiającej się w historiografii tezie, iż działacze Centralnego Biura Komunistów po przybyciu do kraju „chcieli od razu wyeliminować z życia politycznego drugą partię robotniczą i ustanowić system monopartyjny”. Mieli rzekomo uważać, iż przy systemie wielopartyjnym budowa socjalizmu jest niemożliwa („Z Pola Walki” 1988, nr 2, s. 68). Wspomagając argumentacją ma być tu fakt, iż wiernie naśladowali koncepcje Stalina.

Rzeczywiście, przywódca ZSRR w 1936 r. w referacie poświęconym konstytucji państwa radzieckiego sformułował pogląd, że w sytuacji niestwiernienia antagonistycznych klas nie ma potrzeby ani warunków działania kilku partii politycznych. Zapomina się jednak, iż monopartyjność była zamierzeniem strategicznym, do którego prowadził dość rozległy obszar działań taktycznych, wzbogaconych o dużą elastyczność Stalina.

Przykładem owej elastyczności może być sprawa oficjalnego wycofania Bieruta z czynnej działalności w PPR. W październiku — podczas pobytu delegacji PKWN w Moskwie — dla uzyskania lepszej pozycji przetargowej do rozmów z Mikołajczykiem, „Stalin proponuje, aby Bierut stał się bezpartyjnym. Na próby protestu — pisał Bierut w sprawozdaniu przedstawionym na posiedzeniu Biura Politycznego KC PPR 22 października 1944 roku — Stalin oświadczył, że jest to koniecznością dla narodu i musi się to zrobić. Stalin przytoczył rozmowę, jaką miał z Churchillem o Bierucie. Churchill zapytał się Stalina, czy on zna osobiście Bieruta. Stalin odpowiedział, że zna go ze spotkań, jakie z nim miał jako przewodniczącym KRN. Churchill zauważył, że według wiadomości przez niego posiadanych, Bierut był więźniem politycznym i jako taki był wymieniony do Związku Sowieckiego. Nie może być prezydentem Polski, gdyż nie daje gwarancji obiektywności, będąc zobowiązany wobec Związku Sowieckiego. Stalin odpowiedział, że nic mu o tym nie wiadomo, natomiast wie, że Bierut jeszcze w 1939 r. rozszedł się z partią komunistyczną, gdyż mu ideologicznie nie odpowiadała. Od tego czasu Bierut jest bezpartyjny. Wobec tego Stalin oświadczył Bierutowi, żeby zakomunikować swojej partii, że występuje z niej, co on bierze na swoje sumienie”.

Strategiczny cel w postaci systemu monopartyjnego, wzorowanego na doświadczeniach radzieckich, miał zostać osiągnięty w społeczeństwie bezklasowym. Tymczasem — jak zauważył Jakub Berman, przemawiając w kwietniu 1948 r. na konferencji dziennikarzy — do takiego społeczeństwa droga była daleka. Na tej podstawie formułował wniosek, że zachowanie systemu wielopartyjnego nie jest manewrem czy wprowadzeniem „kogoś w błąd”, natomiast jest „logiczną konsekwencją [...], że póki są poszczególne klasy, to muszą i powinny mieć swoje odrębne partyjne reprezentacje polityczne [...]. Wszelkie próby wcześniejszego sprowadzania wszystkich do jednej partii byłyby szkodliwe dla samej klasy robotniczej, jak i dla samego socjalizmu”.

Ujawnienie się jesienią 1944 r., po raz pierwszy, tendencji monopartyjnych i związanych z tym trudności w funkcjonowaniu systemu wielopartyjnego nie wynikało, jak to niektórzy sugerują, z subiektywnych poczynań tej czy innej grupy kierowniczej PPR. Było ono wyrazem obiektywnie istniejącej sytuacji politycznej w kraju, słabości pozycji komunistów oraz niepopularności wśród partnerów PPR w PKWN tendencji do dominowania komunistów w tworzonego układu politycznym.

TARCIA i spory z ludowcami i socjalistami na tle równości i suwerenności poszczególnych partii były nieuniknione i nie zależały od osobistego nastawienia poszczególnych członków kierownictwa PPR do określonego ugrupowania politycznego. Analiza protokołów Biura Politycznego KC PPR z 1944 r. wskazuje na daleko idącą zbieżność, wręcz identyczność poglądów w kwestii stosunków i relacji międzypartyjnych między W. Gomułką, a częścią kierownictwa wywodzącą się z CBKP.

Przyjęte w okresie PKWN rozwiązania zawężyły koalicyjność tworzonego systemu partyjnego. Były one pochodną decyzji inicjowanych i realizowanych przez całe kierownictwo PPR pod przemożnym wpływem Stalina.

Nieuzasadnione jest przenoszenie dogmatycznych koncepcji byłych działaczy CBKP, z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych, na pierwsze miesiące Polski Ludowej. Tendencje monopartyjne w obu okresach wyrosły z odmiennych uwarunkowań politycznych i społecznych.

W okresie lubelskim były pochodną niezbyt pomyślnych dla komunistów doświadczeń i eksperymentów, związanych z odbudową legalnego życia politycznego i tworzeniem struktur partii socjalistycznej oraz Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego. Działaniami tym towarzyszyła głośna kampania propagandowa inicjowana przez PPR, opiewająca za budowę w Polsce systemu wielopartyjnego. Od połowy 1949 r., system monopartyjny zaczął pojawiać się w koncepcjach teoretycznych członków kierownictwa PPR, przy wyciszeniu propagandy na temat dotychczasowych sojuszników ruchu robotniczego, tj. ludowców i demokratów.

Głównym powodem, który skłaniał komunistów polskich do przyjęcia koncepcji systemu wielopartyjnego, była dość realistyczna ocena własnych sił i możliwości oraz potrzeba budowy politycznego zaplecza władzy.

Najpoważniejsze ugrupowanie ruchu ludowego, Stronnictwo Ludowe „Roch”, bojkotowało KRN, a następnie PKWN oraz powołane przez nie organy władzy. Na początku sierpnia 1944 r. kolportowano na Lubelszczyźnie odezwę SL, w której deklarowano odcisną rękawicę RP w Londynie oraz nazywano PKWN „władzą samowładczą”,

stworzoną przez PPR „i jakież inne, bliżej nieokreślone organizacje, a to stanowi znikomną część narodu”.

W kierownictwie PPR zdecydowano wówczas zorganizować nowe Stronnictwo Ludowe na bazie kierowanej przez komunistów grupy „Woli Ludu”.

Odrodzenie partii socjalistycznej nastąpiło w oparciu o grupę działaczy, wywodzących się z Robotniczej Partii Polskich Socjalistów, na czele z Edwardem Osóbką-Morawskim, która to grupa w pierwszym okresie istnienia również nie posiadała większego zaplecza politycznego. Deklarowała ona współpracę z ZSRR, aprobowala linię Curzona i popierała koncepcję współdziałania z PPR. Poza partią pozostawały liczne grupy socjalistów, związane uprzednio z PPS WRN, której kierownictwo negatywnie odnosiło się do inicjatywy odbudowy PPS jako partii lewicowej socjalistycznej. Stąd określano odrodzoną w Lublinie PPS mianem „partii koncesjonowanej”.

Jak zauważył badacz ruchu socjalistycznego, Michał Sliwa — ruch ten nie był przygotowany do rozwoju wydarzeń i procesów zapoczątkowanych proklamowaniem PKWN. Stąd początkowo socjaliści partycypowali w nowej władzy, nie stanowiąc zorganizowanego ruchu politycznego. Dopiero równoległe z procesem umacniania nowej władzy państwowej, odbudowali poszczególne struktury partii. Podobny proces miał miejsce w przypadku czwartej partii, tj. Stronnictwa Demokratycznego.

Odrodzona PPS w swoim pierwszym dokumencie programowym z września 1944 r., opowiedziała się za systemem wielopartyjnym oraz potrzebą ścisłej i lojalnej współpracy stronnictw. Jednak odmiennie od PPR widziała swą pozycję w życiu politycznym kraju, tj. na płaszczyźnie równorzędności przy działaniu obu ugrupowań na jednym wspólnym terenie klasy robotniczej.

Trzeba jednak pamiętać, iż w całym okresie powojennej działalności PPS, szczególnie zaś w okresie lubelskim, rozwijała w tej partii dużą aktywność grupa działaczy, traktująca odbudowę PPS jako zabieg taktyczny, nie widząc dla niej perspektywy w polskim systemie politycznym. Przewodził im Stefan Matuszewski. Działacze ci nie mieli głębszych związków z tradycją socjalistyczną. Ich poglądy były zbliżone ze stanowiskiem części komunistów, którzy kwestionowali potrzebę istnienia w Polsce drugiej partii robotniczej.

Najbardziej korzystne warunki do adaptowania się w systemie partyjnym, stworzonym pod egidą PPR, istniały w czwartym ugrupowaniu politycznym, tj. Stronnictwie Demokratycznym. Miało ono niewielkie tradycje działania przed II wojną światową, formalnie ukonstytuowało się w kwietniu 1939 roku. Było wewnętrznie zróżnicowane politycznie i posiadało w swych szeregach aktywną grupę komunistów z rozwiązanej KPP. Przedwojenny program SD był zbliżony z ideami socjalizmu.

Wszystkie ugrupowania polityczne, które wraz z powstaniem PKWN otrzymały możliwość legalnego działania, były antagonistami sił prawicowych, endecji i sanacji. Ruch ludowy był głęboko zakorzeniony na polskiej wsi i reprezentował autentyczne interesy chłopów, wówczas zdecydowanie większości narodu. W okresie cłupacji wniósł wielki wkład w walkę z Niemcami i stał się najpoważniejszą siłą polityczną kraju. PPS była partią o dużych tradycjach i znaczących wpływach w wielu środowiskach robotniczych. Demokracją jak nazywano wówczas SD, mieli skupiać inteligencję i drobnomieszczaństwo.

(cdn.)

TV

Czwartek — 23 lutego

Program I

8.35 Domator: Nasza poczta
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. 13. pt. „Nowojerskie powiązania” (2) — serial kryminalny prod. ang.
10.15 Domator
10.45 Encyklopedia zakopiańska
10.55 Domator: Powtórzenie na życzenie
16.05 Program dnia i Dt
16.10 Radar — wojskowy magazyn filmowy
16.25 Dla młodych widzów: Kwant
17.15 Teleexpress
17.30 Wojskowy magazyn publicystyczny
17.55 Studio sport: Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym
18.50 Dobranoc: Pająk Chwat, wszystkich brat
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarzy
19.30 Dt
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie” — odc. 13
21.00 Pegaz
21.50 Wokół wielkiej sceny — magazyn operowy Piotra Nędzińskiego
22.40 Dt — echa dnia
22.55 Jutro w programie
23.00—23.30 Język francuski (17)

Program II

16.55 Język francuski (17)
17.25 Program dnia
17.30 Rodzice i dzieci
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 Muppet show: Bob Hope
19.30 Puls: „Cyklosporina” — film dok. prod. kanadyjskiej
20.00 „Kiedy przyglądam się swemu życiu” (2) — film dok. o Harrym Belafonte
20.40 Steinberg — impresja filmowa Franciszka Kuduka
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki”: Adolf Rudnicki — „Pensjonat Paryż”
22.30 Komentarz dnia
22.35—22.40 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter

Piątek — 24 lutego

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dodatek gospodarzy
9.40 „Młode wino” — komedia prod. CSRS
15.50 Program dnia i Dt
15.55 Intersygnal — magazyn krajów Interwizji
16.25 Dla młodych widzów: Rambit
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym
18.10 Skarbiec — mag. hist. Lucyny Smolińskiej
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut

19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 „Amerykanin w Paryżu” — musical prod. USA
22.05 Czas — magazyn publicystyczny
22.35 Jutro w programie
22.40 Szkoła mistrzów — Janusz Majewski
22.55—23.10 Dt — echa dnia

Program II

16.55 Język angielski (47)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” — odc. 8 pt. „Sama w pustym domu” — serial fab. TVP
19.30 Dookoła świata: W Zairze
20.00 Dyryguje John Rubinstein
20.20 Dać na przeczyszczenie — reportaż ze Szpitala Wolskiego
20.45 Brawo — magazyn muzyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 Hotel Ritz — reportaż
22.05 „Każdy ma swoje piekło” — film fab. prod. franc.
23.40—23.45 Komentarz dnia

Sobota — 25 lutego

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Drops: „Fraggles” (29) — serial prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Zdrowie — wojskowy magazyn publicystyczny
11.55 Telewizyjny koncert życzeń
12.25 Flesz — magazyn muzyczny
12.55 Pieprz i wanilia. Nieznany kraj
13.40 Studio sport: Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym
15.40 Komedia... „Nowy” — film prod. pol.
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Konrad P.” — film dok. Stefana Szlachtycza o Konradzie Polleschu
18.30 Butik
19.00 Dobranoc: Wielka podróż Bolka i Lolka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Psia rodzina
19.30 Dt
20.05 „Dzień puszczyka” — film fab. prod. włoskiej
21.50 Tydzień w polityce
22.00 Telewizyjny przegląd sportowy
22.25 Międzynarodowa gala taneczna
23.05 Dt — wiadomości
23.10 Jutro w programie
23.15—0.50 Kino sensacji: „A stawka jest śmierć” — film fab. prod. franc.

Program II

11.55 Trzy godziny z Telewizją Katowice
14.55 Powitanie
15.00 Małe kino. Miasta świata: „Stambul” — film dok. Elżbiety i Andrzeja Lisowskich
15.30 „5 — 10 — 15”
17.00 W kręgu kina „W roli głównej Nathalie Wood” — film dok. USA
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Zwierzęta wokół nas: Podaj łapę

20.00 Witold Rowicki dyryguje IV Symfonią Johannesa Brahmsa
20.55 Wokół górskich schronisk: Na Snieżnicę
21.15 „Egreta” — wiersze Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej
21.30 Panorama dnia
21.50 „Raj odłożony na później” — odc. 5 pt. „Ludzkie ułomności” — serial fab. prod. ang.
22.40 Komentarz dnia
22.45—23.15 „W labiryncie” — odc. 8

Niedziela — 26 lutego

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie” (7) — serial prod. kanadyjskiej
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wspólnota Pacyfiku” — odc. 1 pt. „Wiek Pacyfiku” — serial dok. prod. ang.
11.45 Kraj za miastem
12.10 Telewizyjny koncert życzeń
12.55 Świat cyrku '88
13.55 Teatr Młodego Widza: Jerzy Niemczuk — „Gorszące sceny w ciemnej windzie”
14.35 Morze — program publicystyczny
14.55 Marek Sierocki zaprasza
15.10 „W kamiennym kręgu” — odc. 68 i 69
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w narciarstwie klasycznym
18.10 Aukcja dzieł sztuki współczesnej — „Hevelius”
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Tylko Manhattan” — odc. 8 (ostatni) serialu fab. prod. USA
21.00 Sportowa niedziela
22.00 Siedem dni na świecie
22.10 Magdalena z Kossaków (10): „Warszawskie premiery”
22.25 Telewizyjny film dokumentalny: „Kto wybiera samotność”. Reż. Hanna Kramarczuk. Film o wybitnym artyście rzeźbiarzu, Stanisławie Zagajewskim
22.55 Dt — wiadomości
23.00 Jutro w programie

Program II

9.45 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
10.20 Film dla niesłyszących: „Tylko Manhattan” — odc. 8 (ostatni) serialu fab. prod. USA
11.15 Krótkofalowcy
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Kino familijne: „Marzenia Amandy” (1 i 2) — serial fab. prod. ang. Reż. Richard Bramall
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy” — film dok.
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania” — odc. 2 pt. „Śmierć o poranku” — film dok. prod. ang.
15.35 Śpiewa Affabre Cocinvi
16.05 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.20 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko”: „Expo '86” — prod. CSRS, „W poszukiwaniu raję” — prod. pol.
17.10 Aktualności kulturalne: „I znów cwałują walkirie” — reportaż z Teatru Wielkiego w Warszawie
17.30 Bliżej świata
19.00 Wywiady Ireny Dzie-dzie

19.30 Galeria Dwójki: Jadwiga Naziarska (malarka)
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Wiktory '88 — reportaż
21.30 Panorama dnia
21.45 „Co to konia obchodzi” — film fab. TVP
22.35 Komentarz dnia
22.40—22.45 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter

Poniedziałek — 27 lutego

Program I

16.00 Program dnia — Dt
16.05 Kwadrans muzyki i plotek
16.25 Luz — program dla nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Reklamy z prezentami
17.40 Echa stadionów
18.30 Laboratorium: Kto lubi zimno
18.50 Dobranoc: Niedźwiedź drewniana noga
19.00 10 minut
19.10 Telespotkania
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Jerzy Miłke „Ostatni z Jagiellonów” (2). Reż. Laco Adamik; wyk.: Jerzy Radziwiłowicz, Jerzy Grałek, Jerzy Sagan, Anna Dymna, Elżbieta Karłowska i inni.
21.05 Socjalizm tak — ale jaki? IV spotkanie z prof. Marianem Orzechowskim
21.40 Sportowe disco
22.10 Gwiazdy jazzu — Chick Corea w Warszawie
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język niemiecki (17)

Program II

16.55 Język niemiecki (17)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: O tworzeniu słów w języku polskim
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Teletrans
19.30 Duch róży — program baletowy w 100 rocznicę urodzin Wacława Niżyńskiego
20.00 Magazyn „102” — Mi-dem '89
20.30 Zamyślenia
20.45 Osądźmy sami
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Siostry Bronte” — film prod. franc. Reż. Andre Techine; wyk. Isabelle Huppert, Isabelle Adjani, Marie-France Pisier
23.40 Komentarz dnia

Wtorek — 28 lutego

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarzy
9.40 „Sprawa Mariany Pine-dy” (3) — serial prod. hiszp.
10.40 Domator
16.00 Program dnia — Dt
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cu-downa podróż”
17.15 Teleexpress
17.30 Premiery Starego Kina: „Rozkosze gościnności” (1) — film prod. ang. Reż. Buster Keaton i Jack Blystone; wyk.: Buster Keaton, Natalie Talmadge
18.10 Propozycje zmian w Konstytucji
18.30 Klinika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Sreńgowe skrzydła

19.00 10 minut
19.10 Telewizyjny Klub Konsumentów. Stop
19.30 Dt
20.05 „Sprawa Mariany Pine-dy” (3) — serial prod. hiszp.
21.05 Konferencja prasowa rzeczniczka rządu
21.30 Leksykon polskiej muzyki rozrywkowej — „R”
22.15 Sprawa dla reportera
22.55 Dt — echa dnia
23.15 Język angielski (17)

Program II

16.55 Język angielski (17)
17.25 Program dnia
17.30 „Wielka epoka” (8 — ostatni) — serial dok. prod. włoskiej
18.00 Program lokalny
18.30 Złote ekrany '88
19.00 Różnorodności muzyczne Jerzego Maksymiuka i orkiestry „Simfonia Varsovia”
19.30 Kolorowy zawrót głowy
20.00 Non stop kolor: „Brown Sugar” (2) — „Lata depresji” — serial dok. prod. amerykańskiej
21.00 Powtórka z historii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie” (1) — serial prod. pol. Reż. Mirosław Gronowski; wyk.: Cezary Morawski, Dorota Pomykała, Tomasz Dedek, Marcin Sescnowski, Wojciech Pokora.
22.45 Komentarz dnia

Sroda — 1 marca

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Spotkania na lotnisku” (5) — „Włoski polkoj, afrykańska noc” — serial obyczajowy prod. NRD
10.35 Domator
15.50 Program dnia — Dt wiadomości
15.55 Losowanie Express Lotka i Super Lotka
16.05 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
16.25 Scena TDC
16.50 Dla dzieci: Wyprawy prof. Ciekawskiego
17.15 Teleexpress
17.30 Spojrzenia
18.00 Telewizyjny reformator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj: Archiwum XX w.
18.50 Dobranoc: Miś Uszatek
19.00 10 minut
19.10 Sejmowe spotkania
19.30 Dt
20.05 Studio sport: ówierfinały europejskich pucharów w piłce nożnej
21.55 Raport — publicystyka międzynarodowa
22.25 Nasze przeboje
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język rosyjski (18)

Program II

16.55 Język rosyjski (18)
17.25 Program dnia
17.30 Stulecie śmierci Ludwika Waryńskiego
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów
19.00 Rzeczpospolita nieznaną
19.45 Maroko — program dok.
20.15 „Dziewczyna na krótką trasę” — film prod. CSRS
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 zgłoś się” (9) — „Rozkład jazdy” — serial kryminalny prod. pol.
23.00 Telewizja nocą
23.45 Komentarz dnia

ZESPOL: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawlućzuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska, Korka: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 268. 10.02.1989 r. B-5.

„BABY W DECHĘ, KAPŁONY”

Adam W. Kulik

DZIEWIĄTY dzień stycznia, w Galerii Sztuki Współczesnej w Zamościu tłok, rozgadani ludzie kłują się, przepływając z sali do sali, migoczą jaskrawe obrazy. Dochodzi siedemnasta, dwóch muzykantów — skrzypce i akordeon — przediera się z muzyką przez salę, szukając miejsca, rozpoczyna się wernisaż Henryka Szkućnika.

Następują mówniki i wprowadzenia, wreszcie ulubienie artysty, szpic podwórkowy Kito (pierwszej albo drugiej kolejności odżywiania, wg lokalnej tabeli Tenlekiego), wyrzucony w górę — koniec z oficjalnymi, można pojeść pysznych, wiejskich pierogów z soczewicą i kapustą, posłuchać muzyki, pomarzyć; o oglądaniu obrazów nie ma co myśleć, trzeba poczekać, aż część osób wyjdzie. Muzyka, bliska w nastroju cygańskiej, zniewala melodyjnością i perfekcją wykonania.

Patrząc na świąteczne odprężone twarze przesuwające się przed płótnami, nagle zastanawiam się, gdzie podziła się powszednia radość życia, przejawiająca się chociażby w ochocie do zabawy, tak charakterystyczna np. dla ludzi sprzed wojny? Uświadamiłam sobie, że szok został wywołany odmiennością tego co widzę: na podobnych imprezach zazwyczaj ogląda się oficjalne, dęte ponuractwo, zaprawione manifestowaną chęcią odizolowania się. Tu twarze są uśmiechnięte, odprężone, tutaj coś się wydarzyło: ludzie przyszli w oczekiwaniu i to coś otrzymali — ani jednej zbliżonej gęby.

Tłumek widzów rzadnie, można się rozzejrzeć: lby końskie, świńskie, krowy w najrozmaitszych sytuacjach mieszają się z topornymi, malowanymi z pewnym uproszczeniem sylwetkami chłopów,

lby i dzieci. Zgrzebne bryły traktorów i rolniczych maszyn, obrazki z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, w pudlach gołębie i odznaczenia, garnki na wozach, znowu konie skrepowane chomętami, dedy z wypatroszonymi kapłonami, baby liczące pieniądze i chłopcy obciążające flaszkę po dobieciu targu.

Wszystko to atakuje w mocnych, nasyconych kolorach, częściej symbolicznych, potęgujących ekspresję, niż wynikających z realistycznej wizji: różowe, jasnozielone piosęta, żółte i zielone krowy, granatowo-niebieskie, zielone twarze itd., itd. Jest to więc w całej swojej surowości i prostocie, w znakomite uchwyceniu warstwie obyczajowej — szkoda, że na wystawie zabrakło przynajmniej środkowej części tryptyku „Odpust”, interesującego wiejską procesję, gdzie najbardziej eksploatowane miejsce zajmuje przenośny głośnik — przed krzyżem, księdzem i Biblią.

Obrazy Szkućnika nie ilustrują wsi, nie kokietują jej w impresjach (Chelmoński, Wyczółkowski). Szkućnik ma ambicje większe, pragnie pokazać jej życie i filozofię.

Większość płócien — zgromadzono ich na wystawie 27 — wchodzi w skład cyklu „Kolorowe jarmarki”. Warto zwrócić uwagę i na te poza cyklem, np. „Ślepy tor” — czerwone szyny zakończone blokadą wjeżdżają w monstrualnych rozmiarów peron-konferencyjny stół, za którym mająca niewyraźne postacie; lub „Naczelnik”, przedstawiający biurokrata z zamazaną twarzą, którego segregatory skutecznie oddzielają od tła, gdzie kotłują się zatroskane twarze chłopów i lby zwierząt.

szybciej zabrać jednym i dać drugim. Nie narusza się dzięki temu utrwalaonych struktur zarządzania, a i sprawiedliwości staje się w ten sposób jakby zadość, gdyż zabieranie jeanym i dawanie drugim zawsze było naczelnym hasłem każdej rewolucji klasowej.

Oczywiście kiedyś, na samym początku rewolucji, zabierano bogatym,

starym, bo akurat one w danej chwili zalegają na półkach. To z kolei stanowi pewną formę nacisku na wydawców, skłaniając ich do produkowania towaru, który się szybko sprzedaje.

W tej mierze działania wielu wydawców są szkodliwe, a nawet — w stosunku do społeczeństwa — obraźliwe, gdyż uważa się dość powszechnie,

tomy pozostałe. Wiadomo było, że ludzie i tak kupią.

Powiedzmy bez ogródek: było to zagrożenie nieuczciwe. Z powodu ceny i z powodu nakładu. Czy zaoszczędzono papier na Gombrowiczu po to, aby wydać Mniszkównę? Ciekaw jestem co pan Kurz odpowie, jeżeli przeczyta moje słowa, a chciałbym, aby przeczytał i odpowiedział. Ale powróćmy do spraw ogólniejszych, czyli do dialektyki socjalizmu realnego, od której rozpoczęłam to rozważanie.

DROGA i drożająca książka oznacza dla mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, że zdaniem władzy, socjalizm został już zbudowany, a państwo socjalistyczne na tyle „umocnione”, że książka, z instrumentu polityczno-educacyjnego może się już przekształcić w normalny towar. Jednakże (i to jest drugi wniosek) w nie-normalnym systemie gospodarczym książka nie może być towarem „normalnym”. W jej cenę wliczony jest bowiem nie tylko koszt utrzymania w ruchu nierentownych fabryk, ale także koszt ogromnej a nieruchawej administracji państwowej, która opłacana jest z budżetu. Administracji, która nie tylko że niczego nie produkuje, ale wciąż w tej produkcji przeszkadza, jako że jest głównym hamulcem reform gospodarczych i politycznych. Jej rozrost dowodzi, że — wbrew klasykom socjalizmu teoretycznego — ilość nie przechodzi w jakość, a fakt, że mamy dzisiaj więcej urzędników niż dziesięć lat temu nie oznacza przecież, że Polska jest lepiej rządzona.

Sytuacja książki jest zaledwie jednym z wielu na to dowodów. Jeśli zaś zważymy, że książki kupuje przede wszystkim inteligent, zarabiający od trzech do pięciu razy mniej niż hutnik i górnik, to oczywistym jest, że po czterdziestu latach budowania socjalizmu przystąpiono w Polsce do zabierania biednym, aby dawać bogatym. Bogatym? Powiedzmy — bogatszym, co na jedno wychodzi. Tak oto naczelną hasło socjalizmu teoretycznego (zabrać bogatym, aby dać biednym) zostało w socjalizmie praktycznym przekształcone w swoje przeciwieństwo. Jeżeli tak dalej pójdzie, biedni się zbuntują i zrobią nową rewolucję. Tylko gdzie znajdą bogatych, którym można jeszcze cokolwiek zarekwirować?

POLSKIE GOSPODARSTWO

ZABRAĆ BIEDNYM ABY DAĆ BOGATYM

Andrzej W. Pawluczuk

a dawano biednym. Ale takie rozwiązanie problemów społecznych nie jest możliwe na dłuższą metę z dwóch powodów. Otóż bogatych jest z reguły mniej niż biednych, a ponadto zabrać bogatemu można tylko raz. Porządki uważające się same za rewolucyjne mają to jednak do siebie, że łatwiej im przychodzi realizować swoje cele w sferze podziału niż w sferze produkcji. Dochodzi tu jeszcze kwestia pewnego przyzwyczajenia, a używając terminologii prawniczej — recydywy. Toteż gdy zabrano już wszystko bogatym, a nawet kulakom i średniakom, dobrano się do biednych, ponieważ stanowią oni dzisiaj jedyną warstwę społeczną, której można jeszcze coś zabrać. I na tym polega w skrócie obecna sytuacja książki w PRL.

Nadmierny podatek powoduje bowiem nie tylko nadmierną cenę książki. Ograbione z zysków wydawnictwa i firmy poligraficzne nie mają pieniędzy na normalny rozwój, a więc uzupełnianie i unowocześnianie parku maszynowego. Stąd fatalna jakość druku i oprawy. Przedsiębiorstwo państwowe „Dom Książki” nie ma zaś pieniędzy na budowanie magazynów. Powoduje to tak kuriozalne zjawisko, jak częste przeceny, których dokonuje się na zasadzie mechanicznej, a nie merytorycznej. Toteż przecenia się książki, które nie starzeją się nigdy (m.in. słowniki, klasykę i poważne prace hi-

storyczne), bo akurat one w danej chwili zalegają na półkach. To z kolei stanowi pewną formę nacisku na wydawców, skłaniając ich do produkowania towaru, który się szybko sprzedaje. W tej mierze działania wielu wydawców są szkodliwe, a nawet — w stosunku do społeczeństwa — obraźliwe, gdyż uważa się dość powszechnie,

Ten przykład, to zbiorowe wydanie dzieł Witolda Gombrowicza. Pierwsze, w twardej oprawie, przemknęło przez księgarnie jak meteor. Drugie, w wydaniu broszurowym, było łatwiej dostępne, ale i po nim zostało już tylko wspomnienie mimo dużego, 150-tysięcznego nakładu. Przepraszam: pomyłka. Trzy tomy „Dziennika” miały nakład prawie dwa razy niższy: tylko osiemdziesiąt tysięcy, za to cenę wybitnie drenazową, bo dwa razy wyższą niż

W NUMERZE 7. OPUBLIKUJEMY:

- ZAMACH STANU W LUBLINIE? ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ● 100 TYSIĘCY HEKTARÓW DO WZIECIA ● CO NA WSI SIĘ POPSUŁO? ● TROPEN WOJENNEJ FOTOGRAFII ● TAM, GDZIE BOGA RÓŻNIE CHWAŁĄ ● ŻYDOWSKIE PAMIĄTKI ● DWIE AMBONY ● SFALSZOWANA STATYSTYKA ● JAKA POLSKA, JAKA WŁADZA? — CD. ● ŁOBODOWSKI — CD. ● TYGODNIOWY PROGRAM TV.